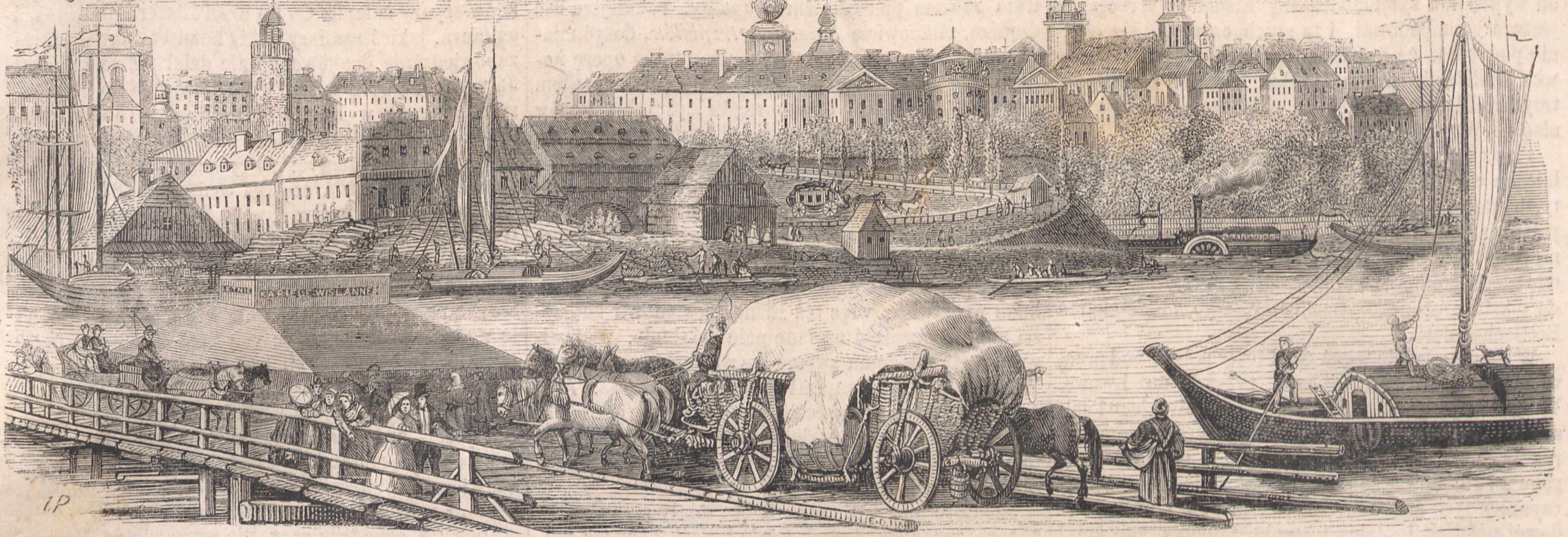


TYGODNIK ILLUSTROWANY



№ 50.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, $\frac{26 \text{ sierpnia}}{7 \text{ września}}$ 1860.
Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartalnie rsr. 3. — Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM II.

TREŚĆ NUMERU.

Józef Ksawery Elsner (z drzeworytu). — Kronika tygodniowa. — Kilka rysów fotograficznych z Tatrów (z trzema drzeworytami). — Przegląd piśmienniczy. — Do redakcyi Tygodnika Ilustrowanego od K. Wł. W. — Korrespondencya Tygodnika Ilustrowanego. — Czernieć (z drzeworytu). — Szachy. — Rebus. — Pan Jacek Brzuchanski, opowiadanie wierszem Józefa Szujskiego (dokonczenie). — Zacięcie stonca dnia 18 lipca 1860 roku. — Korrespondencya od redakcyi. — Doniesienia.

Józef Ksawery Elsner.

Jednym z ludzi, co chociaż obcy nam urodzeniem, jednak prawdziwie pożyteczną pracą stali się dla ziomeków przybraną swą ojczyznę przykładem i wzorem godnym naśladowania, był bez zaprzeczenia Józef Ksawery Elsner. Godzi się więc wizerunek tego męża, wraz z treściwym opisem żywota, zamieścić pomiędzy innymi znakomitościami kraju naszego, ażeby czytelnicy tém snadniej w pamięci go przechowali.

Józef Ksawery Elsner urodził się w szlaskim miasteczku Grodkowie 29 czerwca 1769 roku. Od dzieciństwa zaraz począł się uczyć muzyki, gdyż zwyczajem zdawna w tamtych stronach przyjętym, młodzież do szkół uczęszczająca obowiązana była śpiewać w kościołach pieśni pobożne. Zamiłowania do muzyki nabrał Elsner od rodziców, którzy w wolnych chwilach lubili się nią zajmować. Poduczywszy się grać cokolwiek na skrzypcach, poczuł chęć do kompozycyi; układał więc sobie tańce, małeńkie piosneczki i t. p. Ojciec Józefa, pragnąc syna poświęcić stanowi duchownemu, oddał go na wychowanie do klasztoru dominikanów w Wrocławiu, gdzie śpiewając często dyskantem na chórze, przy innych naukach pobieranych w ex-jezuickim gimnazjum, miał sposobność doskonalenia się na skrzypcach, tudzież poznania pierwszych zasad kompozycyi. W trzynastym roku życia napisał *Motet* na dwa dyskantowe głosy: *Ave Maria, gratia plena*. Dyrektor chóru Schön, usłyszawszy ten utwór wykonany w czasie nabożeństwa, zwrócił szczególną uwagę na młodego kompozytora, a widząc w nim niepospolity talent, sam począł mu wykładać teorię muzyki.

Nabrawszy wprawę do komponowania, Elsner wszystkie wolne od szkolnych zatrudnień chwile poświęcał muzyce i napisał znaczną liczbę kościelnych utworów, które zjednały mu uznanie i szacunek nawet pomiędzy przełożonymi. Atoli w dziwny sposób brał się do tego. Wiadomo każdemu, iż kompozytor

chcący układać muzykę na kilka głosów lub orkiestrę, wpisuje ją w partyturę; otóż Elsner zupełnie przeciwnie postępował, gdyż o partyturze wyobrażenia nawet nie miał. Dopiero ówczesny dyrektor wrocławskiej orkiestry teatralnej Maar, pierwszy wskazał mu jak na jednej karcie wszystkie na raz działające głosy wypisywać można. Zachęcony namową przyjaciół, niektóre religijnej muzyki ustępy wydał Elsner na świat pod przybranym nazwiskiem Lilietti. Probował także później pisać symfonie, z których jedna, wykonana podczas rocznicy urodzin żony dyrektora tamtejszego teatru, zyskała mu nieudane pochwały i otworzyła wstęp na wszystkie teatralne widowiska. Ko-



JÓZEF KSAWERY ELSNER.
Rys. z natury w r. 1850 Fajans.

rzystając z tego, przyszły twórca *Króla Łokietka* zasiadał nieraz ze skrzypcami w orkiestrze, zastępując którego z artystów, i tym sposobem zapoznał się z wielą utworami dramatycznymi, ucząc się zarazem należycie oceniać naturę używanych do usług teatralnej muzyki instrumentów.

Tak tedy uprawiając muzykę, którą kochał, a jako przyszły duchowny teologią, do której nie miał wielkiego zamiłowania, Elsner, w skutek śmierci swego ojca, zmuszonym był porzucić na niejaki czas szkolne zajęcia, a nie mając dostatecznych funduszy na utrzymanie życia, zaciągnął się jako pierwszy skrzypek do kapelli dominikańskiego kościoła. Osiedlony więc na swoim chlebie w Wrocławiu, łatwo na niego mógł zapracować, bo uważany za zdolnego skrzypka, chętnie był brany na nauczyciela muzyki. Z namowy jednego ze swoich przyjaciół, w dziewiętnastym roku życia Elsner postanowił raz na zawsze wziąć rozbrat z teologią, a poświęcić się medycynie. Sławny naówczas nauczyciel fakultetu lekarskiego Morgenbesser, przyjął go do grona swych uczniów. Zaledwie też o tém nowym Elsnera przedsięwzięciu doszła wiadomość do Grodkowa, rodzinne miasto jego, iradowane że z czasem mieć będzie własnego lekarza, wyznaczyło mu zaraz stypendyum. Wkrótce atoli Morgenbesser umarł, a Elsner, utraciwszy w nim jedynego swego dobroczyńcę i opiekuna, udał się do Wiednia. Los mu jednakże nie sprzyjał: zaraz po swoim tamże przybyciu ciężko zachorował; szczupły fundusz, mający mu wystarczyć na roczne utrzymanie życia, przez miesiąc choroby zupełnie wyczerpanym został; więc o dalszych studiach lekarskich myśleć nawet nie można było. Osłabiony na ciele, z czarną troską niepewności o jutro głęboko w duszy utkwioną, przechadzał się po gwarnych ulicach Wiednia, nie wiedząc co z sobą zrobić; szczęściem spotyka niespodzianie przyjaciela i kolegę ze szkół wrocławskich, który dowiedziawszy się o położeniu Elsnera, ofiaruje mu przytułek i wszelkie życia wygody.

Wypadek ten stanowczy wpływ wywarł na całą przyszłość Józefa, bo uległszy zdrowym radom przyjaciela, muzyce odtąd postanowił oddać się zupełnie. Otrzymałszy w Bernie (Brünn) miejsce skrzypka w orkiestrze tamtejszego teatru, a udzielając zarazem lekcji muzyki na fortepianie, cieszył się Elsner nareszcie skromnym lecz wystarczającym na jego codzienne potrzeby dochodem. Kompozycyi nie zaniedbywał także i wkrótce kilka muzycznymi utworami, a mianowicie tańcami, zyskał sobie w tém mieście wziętość. Na początku 1792 r. przedsięwzięcia niemieckiego teatru we Lwowie, p. Bulla, miał zamiar wysłać połowę artystów swoich do Warszawy; potrzebując tedy drugiego do oper dyrektora, nie wahał się

wezwać na tę posadę Elsnera, albowiem od wielu przyjeżdżających z Berna uwiadomionym już był o wysokich tego młodego artysty zdolnościach. Skoro tylko Elsner przybył do Lwowa, wezwał go zaraz Bulla do przewodniczenia orkiestrze, chcąc się przekonać o ile oddawane mu pochwały były sprawiedliwymi. Właśnie dnia tego dawano widowisko na dochód zniszczonych kłeskami wojny, więc wielu znaczniejszych urzędników zeszło się do teatru. Zaczęto od wykonania symfonii, którą Elsner w Wroclawiu jeszcze skomponował, i ta słuchaczom tak się ogólnie podobała, że ówczesny gubernator Galicji, znawca i miłośnik muzyki hrabia Brigido, polecił zatrzymać Elsnera we Lwowie, a innego dyrektora wysłać do Warszawy.

Przez lat siedm pracował Elsner dla teatru i publiczności lwowskiej, komponując międzyakty, balety, kantaty, kwartety i t. p. W roku 1794 napisał pierwszą swą operę p. t. *Osobliwi bracia*, do której sam treść układał. Niezłe jej powodzenie zachęciło go do skomponowania drugiej: *Przebrany sultan*, do tekstu ułożonego przez cesarskiego bibliotekarza Brettschneidera.

W końcu właśnie tegoż roku teatr polski, pod przewodnictwem Bogusławskiego, przybył do Lwowa. W skutek połączenia obu teatrów, niemieckiego i polskiego, Elsner począł się zajmować wystawianiem i dyrygowaniem polskich oper. Odtąd, a mianowicie od roku 1796, należy go już uważać za jednego z najczynniejszych artystów, jacy talent swój scenie narodowej poświęcili. Jakiś instynkt tajemny zniewalał go ciągle do bliższego łączenia się z Polakami, jak gdyby przeczuwał, że wśród nich czeka go sława i szacunek za wszystko, co później miał dla ich dobra i narodowej sztuki muzycznej uczynić.

Widząc niepoślednie zdolności artystów naszych i nadzwyczajną dla nich sympatją publiczności lwowskiej, pragnął koniecznie napisać operę polską; lecz nieznaną mu języka najlepsze jego chęci w niwecz obracała. Postanowił więc uczyć się po polsku i w kilka miesięcy tak dalece postąpił, że odważył się do naszych wiérzy muzykę układać. Nie śmiać atoli od razu rzucić się na tak niebezpieczne i trudne przedsięwzięcie, nad każdym słowem polskim pisał niemieckie, i tym sposobem wkrótce tak dobrze poznał naturę i ducha mowy naszej, że później mało kto mógł mu w podkładaniu słów polskich pod muzykę wyrównać. Najpierwszym dziełem polskim, do którego Elsner muzykę skomponował, był melodramat Bogusławskiego pod tytułem: *Iskahar król Guaxary*. Sztuka ta, z zapalem od publiczności lwowskiej przyjęta, jest niejako zakładem przymierza pomiędzy Elsnerem i polskim narodem. Piękna tego melodramatu muzyka tak się ogólnie wszystkim podobała, że każdy ją chciał śpiewać i cieszyć się nią; szczególniej pieśń do słońca „O ty! co równie znędziałym“ śpiewano po całej Galicji. Niezadługo potem opera *Amazonki* (treść także Bogusławskiego) jeszcze większy rozgłos twórcy swemu zjednała, i odtąd Elsner, z wdzięczając tak świetne swego talentu uznanie i pocziwą chęć artystów naszych wstarannem pracy jego przedstawieniu, postanowił nazawsze dzielić losy sceny polskiej.

W roku 1799 Elsner, wraz z całym towarzystwem Bogusławskiego, przybył do Warszawy. Opisywać szczegółowo czynnego i pracowitego życia tego człowieka na ten raz nie będziemy, zbyt liczne bowiem są jego zasługi. Jako przewodnik opery narodowej, kształcił śpiewaków, czuwał nad wykonaniem, a co więcej, on to, aż do zjawienia się Kurpińskiego w Warszawie, czyli do roku 1810, pracami swymi zasilał głównie repertuar sceny krajowej. I tak, w roku 1804 wystawił operę: *Mieszkańcy Kamkatal* (słowa Dmuszewskiego), tudzież *Siedm razy jeden* (tegoż autora). W roku 1806 *Wieszczka Urzella* (tłum. Baudouina); w roku 1807 *Andromeda* (słowa Osieńskiego). Napoleon I dnia 18 stycznia znajdował się na przedstawieniu tego dzieła; zadowolony z wykonania, polecił wyrazić słowa życzliwości i zachęty artystom polskim. Niema wątpliwości, że gdyby cesarz był dłużej pozostał w stolicy, los ich znacznie mógłby się polepszyć; lecz wyjechawszy zaraz nazajutrz z Warszawy, pociągnął za sobą znaczną część osób bytnością swoją stale teatr wspierających.

Pomimo jednakże klęsk wojny, artyści nasi, a na ich czele Elsner i Bogusławski, krzątali się gorliwie około dobra sceny narodowej. W roku 1808 aż pięć

nowych oryginalnych oper Elsner wystawił: 1mo) *Szwec i krawcówna* (słowa Drozdowskiego); 2do) *Urojenie i rzeczywistość* (tłum. Adamczewskiego); 3o) *Echo* (słowa Pękalskiego); 4to) *Śniadanie trzpiotów* (tłum. Huissona); 5o) *Zona po drodze* (słowa Drozdowskiego). Wprawdzie rozmiar ich nie był wielki, gdyż przeplatano je prozą, na sposób francuzkich wodewilów; lecz zawsze jest to najwymowniejszym świadectwem niezamorłowanej i niezrażającej się niczem czynności; dwie bowiem pierwsze zaraz upadły, późniejsze zaś dopiero, mianowicie *Śniadanie trzpiotów*, dosyć miały powodzenia. W roku 1809 jedną tylko operę napisał Elsner do słów Dmuszewskiego, pod tytułem *Leszek Biały*; należy ona do rzędu lepszych utworów tego kompozytora. Trzy operetki następujące: *Benefis* (słowa Pękalskiego), *Wąwozy Sierra Morena* (słowa Dmuszewskiego) i *Kalista* (słowa Wężyka), przedstawione w 1810, 1811 i 1812, upadły. Młodszy od Elsnera kompozytor, chociaż nie lepszy, ale którego talent stosowniejszym był do muzyki dramatycznej, Kurpiński, począł dzieła swoje z wielkim powodzeniem wystawiać; więc też Elsner postanowił zdolności swoje przenieść na inne pole działania, zostawiwszy teatr młodemu swemu współzawodnikowi. Wprzód jednakże napisał jeszcze dwa dzieła: *Król Lokietek* (słowa Dmuszewskiego) w 1818 i *Jagiello w Tęczynie* (słowa Chodkiewicza) w 1820 roku, uświetniające zejście jego z horyzontu muzyki teatralno-dramatycznej.

Niektóre opery Elsnera dobre miały powodzenie, z tych jednakże *Leszek Biały* i *Król Lokietek* najwięcej były lubione. Znaczną też liczbę melodramatów zostawił, jako to: *Iskahar*, *Nurzahad*, *Sąd Salomona*, *Trybunał niewidzialny*, *Mieczysław Słepý*, *Karol Wielki*, *Rzym oswobodzony*, oprócz mnóstwa innych utworów religijnej lub światowej treści. Największe atoli powodzenie miała *Ofiara Abrahama*, wystawiona po raz pierwszy w 1821 roku, a będąca ostatniem dramatycznym dziełem, jakie teatrowi zostawił.

Jeżeli brakło Elsnerowi na melodyjnych zdolnościach do kręślenia wyższej wartości utworów scenicznych, to niezawodnie nauką przewyższał wszystkich naszych kompozytorów, nie wyłączając nawet Kurpińskiego. Więc też nie teatr, lecz muzyka kościelna była właściwem polem, na jakim zaszczytnie i z chlubą dla siebie mógł użyć swych zdolności.

Mianowany członkiem towarzystwa przyjaciół nauk w roku 1816, w pięć lat później otrzymał posadę rektora konserwatorium warszawskiego; jemu też głównie instytucja ta zawdzięczała swe założenie. W roku 1818 wydał wraz z Brodzińskim dzieło *O metryczności i rytmiczności języka polskiego*, którego atoli część druga aż dotąd pozostała w rękopiśmie. Na dziewięć lat przed śmiercią uległ nieszczęściu: paraliż odjął mu władzę w prawej ręce, lewej więc zmuszony był używać do pisania ostatnich dzieł religijnych, (z których najwyższem i najwspanialszem bez zaprzeczenia jest oratorium *Męka Zbawiciela*), tudzież do kręślenia pamiętników, staraniem księcia Kaźmirza Lubomirskiego przygotowanych do druku.

Sędziwy kompozytor, doczekawszy 85 lat życia, zmarł w Elsnerówce pod Warszawą, 18 kwietnia 1854 roku. Pochowany na Powązkach, gdzie z uzbieranego funduszu podczas ostatniego wykonania *Męki Zbawiciela* 1853 r., pomnik mu wystawiono.

Otóż z powodu właśnie tego publicznie uzbieranego funduszu, niech nam będzie wolno zwrócić uwagę ogółu na artykuł pod tytułem *Summy Elsnera*, drukowany w roku zeszłym w nrze 36 *Ruchu Muzycznego*; może za pośrednictwem niniejszego pisma trafi on prędzej do celu. W przekonaniu że im dłużej jaka sprawa się odkłada, tém trudniej z nią dojść do końca, korzystamy ze sposobności i cały ten artykuł *Ruchu* wypisujemy:

„*Summy Elsnera*. Ostatnie u nas wykonane oratorium (Paulus) przypominało mi, jak to naturalne, oratorium przedostatnio wykonane u nas. Pamiętacie je może: była to *Passio Domini nostri Jesu Christi* Elsnera. Przyszły mi na myśl i cele każdego z tych oratoryów: Mendelsohna wykonano na cel dobroczynny, oratorium Elsnera wykonano na rzecz autora, choć już nie żył. Pamiętam ogłoszenia po pismach naszych wówczas drukowane, że za pieniądze mające się zebrać i zebrane podobno w ilości 1500 rs., mozolną pracą pana J. F. Dobrzyńskiego i poświęceniem amatorów i artystów, miano: 1mo wystawić Elsne-

rowi pomnik na cmentarzu powązkowskim, godny pamięci tego wielce zasłużonego muzyce polskiej człowieka; 2o) wydać pozostałe po nim dzieła. Co do pierwszego, wiemy że pomnik stanął; czy godny Elsnera, o to mniejsza, dosyć że jest — trzebaby go tylko konserwować. Dlatego donoszę tym których to obchodzi, że wizerunek nieboszczyka, w płaskorzeźbie zrobiony na pomniku, spękał się, nie wiem czy dlatego że z gliny, alias z cementu zrobiony; trzebaby znów szpary zalepić. Co do dzieł Elsnera, była jakaś agitacja, jakieś zamiary, jakiś komitet, nawet jakieś zapowiedzenie drukowane; ale dzieł niema i niema! Ja wiem, że było w nich coś należącego do literatury muzycznej; w *Ruchu Muzycznym* z 1857 r. drukowano nawet (wyglądało to na pamiętnik) ustęp jeden z tego; była teoria: „O rytmiczności języka polskiego,“ której mała część wydana w 1818 r. a reszta redagowana przez ś. p. Jaślikowskiego, ale potrzebująca nowój redakcyi; był kompletny kurs kompozycyi, tak u nas pożądany; a nadewszystko było owo oratorium, największe z dzieł tego rodzaju, ba! jedyne nawet które u nas i dla nas powstało. Miano je wydać. Kiedy je zobaczymy? kto się tém zajmie? w jakiej to będzie (jeśli będzie) wydane formie (to jest czy w wielkiej partyturze, czy w fortepianowej)? Ponieważ dotąd nic nie wydano, prosimy o wydanie coprędzej — już tyle lat czekamy! Tymczasem fundusze rosą procentami, boć pewnie w banku je złożono. Ciekawy byłbym się dowiedzieć, ile też tam mojego grosza? a byłem na każdym wykonaniu owego oratorium, więc trzy razy, nie wymawiając. Procentcie składany! ideale ludzkości! jakiegoż ty olbrzyma zrobisz z czasem z *Summy Elsnera*, jeśli długo w banku poleży!!!...

Kronika tygodniowa.

Szarańcza w Lubelskiem! szarańcza ukazała się na krańcach Lubelskiego! oto głos co przeważnie nad inne z różnych stron w tym tygodniu słyszeć się dawał. Zapewne wielka armia szarańczowa posłała dopiero swych tyralierów na granicę królestwa; doniesiono nam nawet że ujęto kilku jeńców z tej przedniej straży i przewieziono do Warszawy. Nie widzieliśmy ich dotąd, ale już w Lublinie w przeszłym tygodniu mieliśmy sposobność spotkać się z szarańczą, którą jeden z obywateli podolskich przywiózł tam na pokaz, jako zwierzę domowe sui generis. Obawy wszelkie jakie szarańcza wzbudzać obecnie może, tyczą się zakopania się jej w ziemi, a rozplenienia z wiosną. Nam się jednak zdaje że królestwo powinno być mniej więcej bezpieczne od tej plagi, bo klimat nasz, na szarańczę trochę zbyt ostry, przeszkodzi jej rozwinięciu się.

Zresztą, jeżeli mniej więcej, przynajmniej w tym roku, będziemy wolni od szarańczy przybywającej z Wołoszczyzny i Besarabii, to inny gatunek tych zwierząt, szarańcza linoskoków, jeźdźców i różnych innych okazicieli sztuk łamanych i osobliwości dręczyć nas nie przestaje. A znęcili się już tak do nas, że nietylko jak dawniej rok rocznie przybawają w pewnych peryodach, ale już emfiteutyicznie wzięli w posiadanie Warszawę i siedzą sobie tu, albowiem im tu dobrze. Podzielamy oburzenie jednego z pism tutejszych, które energicznymi wyrazami powstawało przeciwko przyklaskującym temu upodleniu natury ludzkiej i zachęcającym tym sposobem do coraz niebezpieczniejszych hoziółków. Skoczek który do każdej nogi przywiązuje sobie dziecko, a potem, postępując sobie z temi biednymi istotami jak ze zwykłymi ciężarami, uderza jednem o drugie, wstrząsa niemi, przerzuca i t. d., skoczek taki, podług nas, nie powinien być zaprawdę okrywany oklaskami. Nie będziemy tu rozbierać z jakim niebezpieczeństwem i z jaką męką dla biednych dzieciaków połączoną jest nauka tych wszystkich sztuk akrobatycznych. Niejednokrotnie powieść już, a nawet dramat wdawały się w tę dziedzinę, a zdarzało się, jak to się nieraz dzieje, że czytelnicy i widze sceny z natury kręślane brali za czysty wymysł fantazyi. Wszakże każdemu mniej więcej wiadomy jest proces, który miał miejsce we Francji przed kilkunastą latami. Ojcu ukradziono dziecko. Przez kilka lat szukał go po całym kraju; aż raz na jarmarku wiejskim spotkał swojego biednego synka, którego obrzydły jakiś linoskok sma-

gał niemiłosiernie batem, że przy niebezpiecznej jakiejś sztuce nie chciał się narażać na złamanie karku. Ojciec był stary, schorzały, zmęczony podróżą i strapieniem; linoskok młody, rosły, rozwinięty muskularnie do najwyższego stopnia, skutkiem doskonalenia się w swoim rzemiośle; ale starzec rzucił się na akrobatę i jednym uderzeniem pięści powalił go na ziemię. Pajac nie wstał już więcej, nastąpiła śmierć natychmiastowa, rozpacz bowiem temu schorzałemu ojcu siłę Herkulesa udzieliła. I sąd przysięgłych uwolnił go od odpowiedzialności, jakżeż mogło być inaczej, bo i któż na jego miejscu nie byłby sobie tak samo postąpił?

Odrzucając już na stronę niebezpieczeństwo fizyczne, dodać trzeba że ćwiczenie się w sztukach podobnego rodzaju niemały ma wpływ naniżenie stanu moralnego człowieka, na zezwierzczenie go jednym słowem. Gimnastyka jest dobrą i zbawienną, ale stając się jedynym celem życia i przechodząc pewną miarę, wpływa już tylko narozwinięcie ciała, ze szkodą umysłowych zdolności. Dlatego cieszymy się że tak mało nazwisk rodaków naszych czytamy na liście owych skoczków, akrobatów, konnych jeźdźców pajaców i t. d. Zaledwie też nazwiska jednego albo dwóch błaznów Polaków dzieje nasze nam zachowały, a Stańczyk, najbardziej znany z nich, pomimo smutnego powołania swojego, posiadał niemały zapas fantazyi szlacheckiej i niejednokrotnie dawał tego dowody.

Ale i gdzież mnie zaciągnął ustęp o linoskokach? Tak to bywa zwykle z temi naszymi gawędami: raz im popuściwszy wodze, sami nie wiemy już gdzie się one zatrzymają. Wolójby wam powiedzieć coś o bieżących rzeczach, na przykład o sprawach teatralnych; ale cóż kiedy te ostatnie raczej *stojącemi* aniżeli *bieżącemi* nazwałoby wypadało. To tylko jest pocieszającym, że próby dramatu Burgrafowie idą nieprzerwanie, i wkrótce możemy się już spodziewać przedstawienia tego pięknego dzieła. A z wielką starannością artyści nasi biorą się do tego i stanowi ono dla nich prawdziwe studium. Nie chcemy uprzedzać zdania publiczności, nie mamy również prawa wyjawiać tajemnic zakulisowych; to jednak powiemy, że rachujemy na przedstawienie Burgrafów jako mogące u nas stanowić epokę w sztuce. Będzie to może zaprzeczeniem ogólnie krążącym zdaniom, że scena nasza prawdziwego talentu tragicznego nie posiada; talenta te istnieją i niepoślednie, tylko brak im stosownej porzy do rozwinięcia się. Drugi akt *Dziewicy orleańskiej* i *List żelazny* niemal już są stwierdzeniem naszego zdania, a Burgrafowie jeszcze obszerniejsze może od tamtych następczą pole działania. Gdybyć tylko jakim sposobem można zaradzić słabościom, które zdaje się od pewnego czasu ze szczególną zarządnością rozrosły się na towarzystwo artystów naszych. Żeby choć raz afisz był pustym u dołu; ale litania tych słabych o żadnej porze nie ustaje. Nie szczęśliwa ta Warszawa, co to za niezdrowe miasto!

Od pewnego już czasu spostrzegamy w *Kuryerze Wileńskim*, w rubryce „Przegląd pism czasowych“, jakieś drobiazgowo czepianie się naszego Tygodnika, w którym pragniemy nie domyślać się złej woli, kładąc je raczej na karb mylnego zapatrywania się na rzeczy. Niedawno pismo to zrobiło nam zarzut z powodu przypisku do artykułu p. t. „Słowo ojca do córki“, jakobyśmy naprawdę wmówić chcieli w czytelników, że artykuł ten napisany był przed sześćdziesiąt laty, i dodaje w końcu, iż *nie godzi się liczyć tyle na naiwność publiczności*. Zaprawdę, jeżeli kogo pomówić tu można o naiwność, to chyba sprawozdawcę *Kuryera*, że mógł nasz przypisek wziąć na seryo, kiedy dosyć było przeczytać z uwagą dwa wiersze początkowe, ażeby zrozumieć prawdziwe jego znaczenie.

Obecnie znów w Nrze 63 *Kuryer Wileński* powstaje na „Myśli oderwane“, drukujące się niekiedy w Tygodniku, zarzucając im nieprawdziwość. „Co to na przykład za prawda (mówi sprawozdawca): *Błędy nasze są to cienie, które rosną w miarę jak słońce szczęścia naszego schyla się ku zachodowi*, czyli inaczej: tylko szczęśliwi wolni są od błędów, a im kto nieszczęśliwszy, tém więcej ich popełnia.“ — Tu już w istocie mimo woli nasuwa się domniemanie, że autor „Przeglądu pism czasowych“ w *Kuryerze* nie chciał zrozumieć myśli przytoczonego aforyzmu, bo trudno przypuścić iżby nie pojął, że tam jest mowa o postrzeganiu błędów naszych przez osoby patrzące

z ubocza, które widzą je małemi, gdy słońce szczęścia naszego stoi wysoko, wielkimi zaś, gdy słońce to zniża się ku zachodowi. Jest to owszem zdanie odznaczające się zarówno *prawdą psychiczną*, jak *zwięzłością* wysłowienia i niezbędnem w każdym porównaniu, czerpanem ze świata zmysłowego, *prawdą fizyczną*, za które wdzięczni bardzo jesteśmy autorowi „Myśli oderwanych.“

Nie mamy w piśmie naszym właściwej na to rubryki, inaczej (popatrzywszy dobrze) możebyśmy i *Kuryerowi* niejedno wytknąć potrafili; wolimy zresztą nie szukać *łdźbla* w cudzém oku, zamiast pozbywać się *tramu* z własnego. Na tém więc zakończamy odpowiedź na zarzuty *Kuryera Wileńskiego*, przepraszając czytelników, że ich sprawą *pro domo nostra* zaprzęliśmy, i przyrzekając im zarazem, że odtąd żadne zaczepki podjazdowe nie skłonią nas już do popełnienia na nowo tego grzechu dziennikarskiego.

Musimy wam donieść o dziwnym fakcie kradzieży. Wiadomo że Łomnica jest najwyższą z gór tatrzańskich, i że z wielką trudnością przychodziło dotąd wdzierać się na jej szczyt niektórym śmielszym a ciekawym podróżnikom. Owóż na ten szczyt prowadziły schody wykute w skale, ale ponieważ schody te były strome i ślizkie bardzo, urządzono z boku poręcz żelazną, której trzymając się, zaledwie z wielkiem wysileniem podróżnicy mogli wstępować na górę. Tymczasem w bieżącym roku znalazł się jakiś amator żelaza, który tę poręcz odpiłował po kawale i ukradł, wprost ukradł, jak gdyby najzwyczajszą rzecz, zegarek lub rubla. Jak tam on musiał odbywać tę swoją operacyę, trudno się nawet domyśleć, ale sądzimy że w każdym razie kradzież taką można zaliczyć do kradzieży *heroicznych*, jeżeli taką nazwę godzi się dać złodziejstwu, bo pewno nie każdyby się na to odważył. Obecnie poręcz żelazną zastąpiono drewnianą, ale ta ostatnia jest tak słaba, że niepodobieństwo się na niej opierać, i skutkiem tego podobno nikt z podróżników w bieżącym roku nie odważył się wejść na szczyt Łomnicy.

Kiedy już wspomnieliśmy o Tatrach, donieść winniśmy że Deotyma przygotowuje opis podróży swojej w te góry, który, jak nas upewniano, ma się wkrótce ukazać w felietonie *Gazety Warszawskiej*. Osobno znów w kilku tomach ma wyjść opisanie wszystkich podróży jakie Deotyma dotychczas po ziemi polskiej odbyła, z którego wyjątki czytaliśmy już różnemi czasy w *Gazecie Codzienniej*. Również w felietonie *Gazety Warszawskiej* ukazał się w tych czasach utwór sceniczny Włodzimierza Wolskiego pod tytułem *We Dworku*. Jest to obrazek z zeszłego stulecia, w układzie, stylu i sposobie pisania do ówczesnych pojęć zastosowany. Utwór ten z wielką przyjemnością daje się czytać i jest dowodem (o czém i libretta przekonują) że pan Wolski na polu dramatycznym z niemal powodziem pracowaćby potrafił. I szczerze cieszymy się z tego zwrotu jego talentu, bo nam oryginalnych pisarzy dramatycznych potrzeba, mianowicie też pisarzy doświadczonych i obeznanych z deskami teatralnemi, a to wszystko nie przyjdzie z natchnienia, i największy geniusz musi uczyć się tu, jak to mówią, na własnej skórze. Panu Wolskiemu nie brak doświadczenia, talent jest niezaprzeczony, a więc może być bardzo użytecznym scenie naszej, byleby tylko chciał szczerze.

Z innych nowin literackich donieść wam jeszcze możemy, że wkrótce zapewne ukaże się tom pierwszy bardzo pożądanego dzieła p. t. „*O budowie dróg i mostów*“, przez Stanisława Jarmunda, inżyniera przy drodze żelaznej warszawsko-petersburgskiej. Dzieło to wyjdzie w objętości czterech tomów, nakładem autora (bo niestety, jeszcze u nas na rzeczy specjalne niepodobna prawie znaleźć wydawcy). *Tom pierwszy* zawierać będzie: prace przygotowawcze w polu, to jest pomiary topograficzne i geodezyjne, oraz poziomowanie (niwellacyę) zwyczajne, trygonometryczne i barometryczne; *tom drugi*: zasady wypracowania projektu drogi bitej i obliczenia kosztów, dalej wykonanie robót na gruncie i utrzymanie zbudowanej już drogi; *tom trzeci*: rzecz o drogach żelaznych, ich budowie i utrzymaniu; *tom czwarty* nakoniec: zasady budowy mostów drewnianych, murowanych i żelaznych, teorię sklepień i rachunek wytrzymałości materiałów, ze szczególnem zastosowaniem do budowy mostów.

Jak wskazuje samo wyliczenie treści, dzieło p. Jar-

munda traktować będzie najważniejsze kwestye inżynierii cywilnej. Tekst objaśniony zostanie licznymi rysunkami, litografowanymi w zakładzie pp. Dzwonkowskiego i spółki. Widzieliśmy już kilka pierwszych tablic odbitych, i chętnie oddajemy sprawiedliwość starannemu ich wykonaniu. Rękopisu nie czytaliśmy wprawdzie, a zresztą nie śmielibyśmy nawet wyrokować w przedmiocie tak specjalnym; znając jednak oddawna z kilku pomniejszych prac, które mieliśmy sposobność przeglądać, wykład autora jasny, zwięzły i gruntowny, a przystępny i zajmujący nawet dla ludzi niefachowych, pewni jesteśmy, z góry że i dzieło zapowiedziane posiadać będzie te same przymioty. Ciekawa rzecz, jak też na niem wyjdzie materyalnie autor-nakładca. Zdaniem naszym obowiązkiem jest ogółu publiczności, (nietylko ludzi specjalnych) wspierać podobne wydawnictwa, przedsięwzięte przez osoby prywatne, z największem nieraz wyteżeniem pracy i środków pieniężnych, a wyłącznie dla dobra nauki, bo bez nadziei prawie osiągnięcia, nie mówimy już zysku, lecz choćby zwrotu kosztów. Piękny przykład takiego poparcia ze strony publiczności widzimy na wydaniach p. Ohryzki, którego *Volumina legum*, prawdziwie pożyteczne dla kilkuset może jednostek w naszym kraju, liczą jednak do półtora tysiąca prenumeratorów. Takiego poparcia moralnego i materyalnego z serca i panu Jarmundowi życzymy.

Jeszcze jeden fakt świeżo z bruku warszawskiego zebrany.

Do jednego ze znanych tu kompozytorów muzycznych przybył amator-poeta, który mu oświadczył, że ma pomysł wybornego libretta do opery, zaręczając że zrobi furorę.

— I jakież to ma być przedmiot? zapytał się kompozytor.

— Przedmiot wyborny, poetyczny, heroiczny, wzniosły, a mianowicie różnobarwny, przedmiot którego nikt się jeszcze nie tknął dotychczas. Biorę rzecz z czasów przedhistorycznych, z czasów mitologii słowiańskiej, która tyle prześlicznych ustępów następcza. Fantazyja może tu mieć bardzo szerokie pole. Tytuł możemy dać *Lelum Polelum*, co jest, jak panu wiadomo, nazwą bogów słowiańskich, odpowiadających mniej więcej greckim Kastorowi i Polluksowi. A co, czy nie prześliczne?

— E, odrzekł kompozytor, wcale jakoś nie zentuzjuszowany tym pomysłem, dajmy lepiej temu pokój. Nie przeczę że przedmiot i nazwa bardzo piękne, ale publiczność u nas jest zabardzo wtajemniczona w mitologię słowiańską, i jak my im damy *Lelum Polelum*, to oni gotowi nam oddać *Świstum Poświstum*, i będzie źle.

Na zakończenie dzisiejszej kroniki tygodniowej, dzielimy się jeszcze z czytelnikami ładnym wierszykiem p. Edwarda Chł..., napisanym z powodu obrazka panny Sz..., przedstawiającego *dzieweczkę wiejską*, a ofiarowanego zmarłemu wieszczowi naszemu.

Dzieweczko ty nasza, z oczami modremi,
Z bukietem na skroni z róż polnych,
Mów, co tu porabiasz na obcej tej ziemi,
Śród pojąć ciebie niezdolnych?

Dziewczyno perelko! te tłumy przeżyte
Ośmieją prostotę twą sielską,
I haft twój koszuli, i wieńce z bzu zwite,
I twą twarzyczkę anielską.

Lecz nie, śliczne dziecię, nie ich to artysta
Powabem twych wdzięków rozczula,
Twój obraz, to droga pamiątka ojczysta
Dla pieśni słowiańskiej króla!

On, arcy-mistrz sztuki, żrenicą natchnioną
W szacowne wpatruje się płótno,
I przed skromnym liczkiem, przed twą z róż koroną
Rozjaśnia swoje myśl smutną.

Więc cześć ci, dzieweczko! tyś chwilką osłody
Na drodze tej wieszca cierniowej;
Ty wracasz mu przeszłość i błogi wiek młody
W obrazku z strony domowej!

KILKA RYSÓW FOTOGRAFICZNYCH Z TATRÓW.

Jakkolwiek kraj nasz bogatym jest w nieporównane piękności przyrody, jakkolwiek urocze okolice różnych jego części zwracają na siebie uwagę w najogólniejszych geograficznych poglądach, to przecież niema na ziemi naszej piękniejszej wstęgi nad Ta-

try, które są najoryginalniejszym rysem na obliczu północnych ziem słowiańskich. Ledwie młode chłopię uczuje w swém łonie serce uczuciem rodzinném bijące, ledwie piękność przyrody pierwszą łzę z jego źrenicy wycisła, pierwszém jego pragnieniem, pierwszą żądzą jest wybiegnąć w te siniejące na widok szczyty, tam odetchnąć powietrzem gór, popatrzeć w świat daleki i zaczerpnąć natchnień. I nie dziwne to pragnienie! Dla tego, kto słyszał ojcyste wspomnienia o ziemi naszej, opis Tatrów jest najrzewniejszym, najroskoszniejszym rozdziałem, porywającym młodą wyobraźnię w świat jakiś odmienny od rzeczywistego, świat czaru, świat widomej poezji, z którym jeśliby trudno było zostać na długo, na zawsze, jednak żyjąc w nim dni kilka i kilkanaście, wynosi się na całe życie takie wspomnienie, jakie unosimy niekiedy po przeczytaniu szczytnego ustępu wielkiego poety, lub po oglądaniu jakiego arcydzieła pędzla czy dłuta.

Cudnaż - bo ta wstęga przyrody! I swoim ogromem zadziwia, i swoją pięknnością zachwyca i rozrzewnia, i całym swoim odrębnym od innych dzieł Stwórcy charakterem uszlachetnia i uzacnia. Doświadczona to nawet rzecz, iż w tej czarownej pod-

o wiele wyżej jest ukształconym od mieszkańców równi. Tradycja wiary, obyczajów i mowy jest u ludu górskiego świętym zakonem życia, którego nierad przekraczać. Gdzież, jeśli nie tam szukać najwymowniejszych podań, odnoszących się do dziejów stworzenia? Ale nie zimną ręką badacza brać je wypada, aby ich nie pokalać tém świętokradztwem;

starczyć do zaspokojenia duszy goniącej za powabem natury, zatrzymają go sobą w ojczystej ziemi, przemawiając prawie temi słowy do niego: „Poco nam cudów Szwajcaryi, kiedy my naszą Szwajcaryą mamy? Poco nam szukać źródeł lekarskich, kiedy tu, śród najpiękniejszych okolic, obfite uzdrowień źródła nam płyną? Tu przyroda złączyła w swoim utworze to, co nam kazało przysłowie połączyć ze sobą: piękność i użytek, roskosz duszy i zdrowie ciała — *utile dulci*.“

Dałby Bóg, aby taki głos odezwał się w sumieniu każdego, a nadzieja tego dziś tém większa, im więcej zwracamy się w siebie samych, im więcej starań o to łożą ludzie, mający sobie powierzone od Boga zdrowie duszy naszej i ciała.

Całej panoramy Tatrów nie byłoby podobieństwem zebrać w takim ogólnym szkicu, jaki tu zamierzaliśmy sobie podać, a to dlatego, że opis szczególnych miejsc, skał, dolin, wodospadów, jezior, strumyków, turni, upłazów, hali, niebez-

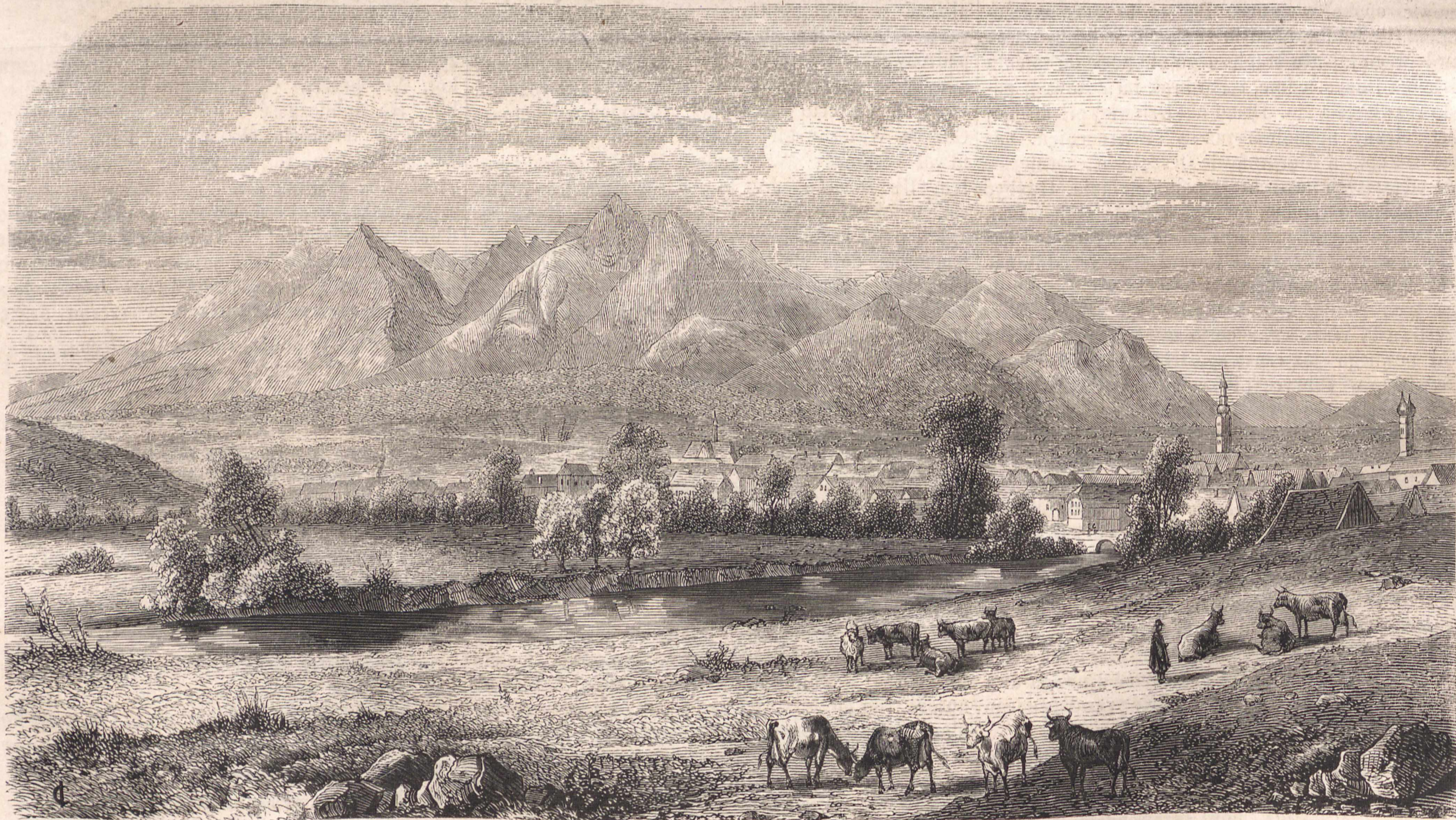
piecznych przesmyków, byłyby cokolwiek monotonnym, jak jest monotonnym w rzeczywistości. Głazy olbrzymie, wystrzelające iglice, szemrzący potok, świerki u dołu, najwyżej limby, a gdzieniegdzie szmaragdowy kobierzec niziutkiój lecz gęstej mura-



ZWÓZ LNU W ZAKOPANEM

potrzeba się do nich zbliżać z wiarą w ich prawdę, ze czcią ich świętości, z poezją wtrzącającą ich najpoczytniejszej szacie.

Nie będziemy wdawać się tutaj w specjalny geograficzny i geologiczny opis Tatrów, lecz postanowi-



WIDOK TATRÓW ZE STRONY POŁUDNIOWO-WSCHODNIEJ POD KESMARKIEM.

niebnój krainie, człowiek więcej podlega dobrym pociągom; częściej łza rozrzewnienia oświeci mu twarz miłością, aniżeli myśl pokusie ulegnie. Dobrze powiedziano: że tam w górze bliżej nieba, dalej ziemi! Ziemia ze swoim kałem brudów nie ma tam siły wywierać swoich wpływów na człowieka; widoczną to jest rzeczą w charakterze górskiego ludu, który

liśmy podzielić się z czytelnikami Tygodnika Ilustrowanego niektórymi stronami tego uroczego świata, ograniczając się tylko na tych, które najwięcej zwabiają podróżnych, bo są przystępniejsze i swoją pięknnością już niejednego artystę natchnęły.

Będą tu widoki zdolne zachęcić niejednego może do zwidzania rodzinnych cudów, które mogą wy-

wy, oto przedmioty powtarzające się nieustannie, z małemi wariantami, oto rysy fizjonomii Tatrów, gdy pośród nich jesteśmy.

Mogilany, odległe o jedną stacyą pocztową od Krakowa, położone na grzbiecie wzgórza, są jakby punktem granicznym, z którego wspaniały, a całkiem

różny odsłania się widok na dwie strony. Patrząc ku Wiśle, postrzegasz coraz niżające się pagórki, u podnóża których majaczejają szczyty wież i czerwone dachy Krakowa, a za nimi roztacza się nieobejrzana płaszczyna, poprzecinana błękitniejącymi pasami ziół i lasów. Na pierwszy rzut oka poznasz, że to kraj chleborodny, gęsto zasiany włością, najeżony kopułami kościołów, mogiłami, a niekiedy gruzami zamków. Historyczna przeszłość wyryła na nim swoje piętno, każda stopa ziemi umiałaby wiele powiedzieć; istna to epepeja, ale milczeniem zakłeta. Spojrzysz na drugą stronę Mogilan: fizyognomia kraju zupełnie inna. Széroke panorama wzgórz, nie narachowałbyś ich szczytów, piętrami wznosi się przed tobą i na samym krańcu widokregu pokazuje, jakby tytański mur, grupę skał, odmienną kształtem i barwą — to *Tatry*. Spojrzawszy na oblicze téj krainy, poznasz od razu, że im bardziej się w głąb posu-

rami zarosłych górach. W panoramie roztaczającej się z Mogilan, trzy takie zamczyska możnaby wskazać w niewielkiej odległości od siebie: Wolek nad Barwałdem, owo gniazdo rozbojów słynne w dziejach; Lanckorona, pyszniąca się resztką baszt i murów, i Dobczyce niedaleko Myślenic.

Z Mogilan, przez Izdebnik, dojeżdża się zwykle w podróży do Tatrów podjętej do Myślenic. Myślenice, mała miścina podgórska, dzisiaj są bliższe upadku niż wzrostu, już skutkiem odjęcia im obwodowej powagi przez Wadowice, już z powodu kolei, która je na boku od całego ruchu osadziła.

I dawniej Myślenice nie były głośniami, bo chyba bardzo odległej starożytności sięgając i słowem Reja o szkłanicach myślenickich wierząc, trzebaby przypuścić, że w nich były huty szklane, których dziś najmniejszego śladu już niema. Teraźniejszych Myślenic, mających zawsze udział w wspomnieniach

się zwykle w przedgórzach przytykających do gór pierwotnych. Rzecz to osobliwa, iż wpływ tych miejsc nie działa na organizm zwierząt, ale tylko najszlachetniejsze i najwyższe ze stworzeń boskich upośledza. Kretyni mają głowy wielkie, jakby obrzmiałe, gardła ogromne na piersi spadające, napęczniałe wargi, zawsze rozdziawione usta, brew grubą, obwisłą, opadłe szczęki, a czarno-żółtawą skórę. Widać ich wszędzie pełno w górach żywieckich, w okolicach góry Babiéj i po kraju koło Szczawnicy, Zazrec, Obędzy, Łaz, starego Sącza, Ukryna, Stawiszca i t. d.

Coraz dalej się pomykając, napotykamy coraz powabniejsze okolice. Po prawej stronie Babia góra rozsiadła się swoim ogromem, i można rzec dotąd piastuje jeszcze berło gór. O skalisty jój szczyt rozbijają się chmury, a raczej wysuwają się z jój wnętrza, bo onato jest niejako barometrem dla całej



MAŁA ŁAKA I CZERWONY WERCH W TATRACH.

niesz, tém mniej dziejowych napotkasz pamiątek i wspomnień. Széroke płoty jeszcze niewytrzebionych borów, okrywające niższe szczyty i podnóża większych gór, są jakby resztkami puszczy ogromnych, jakie niegdyś zalegały tę przestrzeń; tylko nadwyżka ludności na równiach osiadłej mogła się tu przemieścić i siekiarą zdobywać lichej grunt do uprawy, lub też kolonista, sprowadzony z Niemiec, dawał początek licznym dziś osadom. Nic téż tu nie dosięga dalszych nad Kaźmirzowe czasów; gospodarny monarcha zdobył te kraje dla cywilizacji. ... Ostatecznym kresem, a raczej ramami, w których się niejako z téj strony zamykała scena dziejowa, są poważne jeszcze szczątki licznych zamków, wieszających się wzdłuż całego prawie podgórzia karpackiego, zaczawszy od Bobruku aż do pokuckiego Gwoźdźca i Śniatynia. Był to łańcuch obronnej straży, zasłaniający polskie równie od napadu Węgrów, a później opryszków, mających doskonałe schronienie w niedostępnych, bora-

historycznych o Kaźmirzu, który im przywileje nadawał, o Jagielle, który w nich Zygmunta cesarza witał, największą i jedyną ozdobą jest cudowny obraz Najświętszej Panny Maryi u fary; przywiózł go z Wenecji Jerzy książę Zbarański i w wielkim ołtarzu umieścił.

Między stromemi górami wzdłuż rzeki Raby prowadzi dobry bity gościniec z Myślenic. Widoków tu pięknych mało, prócz jednego zamykającego dolinę Raby kilkoma piętrami wysokich gór, powleczonych malowniczo błękitną barwą oddalenia. Posuwając się tym gościniecem coraz dalej, nabiera się dopiero rozmówienia w przyrodzie, której tu znamieniem jest z początku dzikość i groza, później — tęskność i rzewnosc.

Lud tu osiadły liczy się do górali bieskidowych, ale niema owéj bystrości umysłu, rzeźkości i pięknych form, jakie odznaczają Podhalań. Nie brak téż tu kretynów, tych nieodgadnionych istot, pojawiających

szérokej krainy. Najwyższa w tém paśmie Bieskidów, daje się widzieć daleko; wszakże z wielkością jój to samo jest, co ze wszystkimi znakomitościami parafialnymi i prowincjonalnymi: tracą przez porównanie z luminarzami stolicy. Ujrzyysz Tatry, — Babia góra wydaje ci się pagórkami; Podhalań téż pogardliwy daje jój początek, powiadając że baby, idąc na odpust, zapewne do Kalwaryi, bo tam najslawniejsze bywają, wyrzucały śmiecie na jedną kupę, z czego urosła Babia góra.

Dalej, kiedy się wdrapiasz na szczyt Obidowej góry, będziesz już mógł nasycić oczy precudnym krajobrazem Tatrów. Widok z téj góry na łańcuch tatrzański, ma coś prawdziwie wielkiego, a nawet rzadkiego w swoim rodzaju, bo się za jednym rzutem oka obejmuje taki ogrom, że z niczym nie znajdziesz porównania, chyba że sobie przypomnisz grecką bajkę o Tytanach walących Osę na Pelion. ... Również i to osobliwe, iż cała ta grupa nagle wy-

skakuje z ziemi i po obu końcach dość wyraźnie się ucina. Ktoby nie wiedział, na pierwszy rzut oka wzięłby je za masę czarnego wojska chmur, sposobiącego się do wielkiej burzy; skoro zaś promień słońca ozłoci niektóre szczyty, lub gdy się biały obłok wysunie z tych czeluści... poznajesz błąd, ale sobie myślisz: jakże tam strasznie i dziko! to chyba brama do piekieł, lub też sama, piekielna stolica!

Z daleka zawsze diabeł czarniejszy; toż i Tatry, lubo nie mają zapraszającego wyrazu i wcale im z oka nie patrzy gościnnie, bywają rokoszą podróży. Spuszczającemu się z góry Obidowej, pod nogami ukazuje się Nowy Targ. Uroczą dolinę nowotarską, jako przedsiemek gór tatrzańskich, możnaby przyrównać do przedmowy napisanej spokojnie, rozsądnie, logicznie, stylem gospodarskim; a samo dzieło, pełne wulkanicznych i namiętnych wybuchów, pełne egzaltacji i romantycznego nieładu, zaćmionego niezrozumiałymi przenośniami i stylem rozbijałym... do Tatrów.

Rzeczywiście, przyglądając się im z daleka, nie bywszy w nich nigdy, tysiąc dziwactw roi się o ich tajemniczości; co chwila jakaś nowa, niespodziewana uderza cię dekoracja: jeżeli niektóre wirchy draśnie promień słońca, ujrzyś ametystowe ściany, ujrzyś kobierce aksamitne papuziej zieloności, lub śnieżne płaszczyzny iskrzące się jak na tęgim mrozie. Niechże się zanosi na słotę, na tle ich brudno-szafirowém co chwila przelatuje biały obłok, który poszarpany ostremi szczytami, w dżdżystą rozpryskuje się gazę... lub tu i owdzie kita dymu, wystrzeliwszy niby wulkan, zbiera się i tworzy chmurę, która wyrusza z tego arsenału jak park artylerji, zbrojny w nawałnicę, pioruny i grad.

Pod samém miasteczkiem Nowym Targiem, na wzgórzu, stoi maleńki kościółek św. Anny, bardzo starożytny, w którego wielkim ołtarzu godny widzenia jest obraz Przenajświętszą Rodzinę przedstawiający. O tym obrazie krąży w ustach ludu stare podanie, że zbójcy za skradzione pieniądze wybudowali gdzieś w lasach Węgier kościółek, ten obraz mieli w nim zawiesić, z tamtąd zaś miał się tu dostać. Kościółek ten stoi od r. 1219, ubogi, zaniedbany, nie ma własnego funduszu; utrzymuje się jedynie ze składek pobożnego bractwa, odbywającego w nim swe nabożeństwo. Nowy Targ wcale nie zachwyca, nie posiada on bowiem żadnego odrębnego charakteru. Niema tu, jak n. p. w Żywcu, owych drewnianych domostw z staroświeckimi podcieniami o pięterkach; niema tu żadnych śladów uświęconych historyczną przeszłością, bo w Nowym Targu nikt z znakomitych rodzin nie mieszkał, a rzecz pewna, iż oświata i kultura wychodziła u nas z rycerskiego koła, iż sam lud nie mógł się rozwinąć w żadną stronę do tyła, aby po sobie zostawił charakterystyczne cechy pamiętek.

Początek Nowego Targu datuje się od Kazmirza W., który Dytrychowi Sija daje przywilej na założenie miasta, w miejscu gdzie się biały Dunajec z czarnym łączy, a oraz mianuje go wójtem dziedzicznym. Lecz nie wzrastał nigdy bujnie stan tego ubożego miasteczka, owszem już za czasów Zygmunta Starego musiał się znacznie pogorszyć, kiedy wyraźnie tenże król poleca, aby udający się do Węgier z towarami i jadący z Węgier koniecznie jechali nowotarskim gościńcem. Chodziło tu więc o komunikację, o nadanie ruchu i życia, którym chciano podnieść stan miasta, zubożonego zapewne. I Zygmunt III, postanowieniem założenia w Nowym Targu składu win, podnieść go także usiłował; lecz ani to, ani odkrycie kopalń miedzi, srebra i t. d., które niedługo wyczerpnąć się musiały, nie mogło dźwignąć biednej miejsciny, tak iż Nowy Targ jest sobie dziś miasteczkiem ubożuchnym, żadnej osobliwości nie przedstawiającym.

Drogą wyborną, równą jak po stole, pięć mil przejedziesz z Nowego Targu, a staniesz nareszcie w rokosznej, poetycznej krainie, o której musiałeś już nieraz słyszeć, bo o niej każdy wie, czy był czy nie był w Tatrach—w dolinie Kościelisko. Wsie góralskie, któremi się przejeżdża do Kościelisk, bardzo są porządne. Chaty z drzewa budowane mocno, nawet gustownie. Ogrodowin widać bardzo mało, najwięcej i to z rzadka ukaże się grządeczka biednej kapusty; zima bowiem, trwająca o parę miesięcy dłużej niż u nas, gdzie trwa bardzo długo, nie pozwala dojrzewać, mimo niezgorszego gruntu, nawet lepszym gatunkom zboża. Owies i ziemniaki, ziemniaki i owies,

trochę lnu miejscami, oto cała uprawa. Jedyném też gospodarstwem górala jest chów bydła i owiec; ono go żywi i odziewa.

Mężczyźni są tu wszędzie bardzo przystojni; trzymając się prosto, z głową do góry, widoczną tworzą różnicę od mieszkańców równin. Kobiety wysmukłe, bardzo schludne, ubierają się na codzień w spódnice płócienne, farbowane na ciemno-niebieski kolor, i w takie same fartuchy, które noszą na sposób nasyżych mantyli; świąteczny strój ich całkiem biały. Górale w stroju swym odznaczają się wielką starannością a prostotą; noszą gunie długie, aż za kolana sięgające i kapelusze okrągłe z dość wielkimi skrzydłami. Na tych kapeluszach mają obwiązki z drobnych muszelek nanizanych na sznurek. Jest to ich ulubioną ozdobą, której nabywają w Kesmarku, i tąd się głównie chcą odróżnić od innych górali. Pasy ich dwu- lub trzyskórne, ciężkie i mięszsze, że kula mogłaby się odbić od nich w swym pędzie. Pasy te są ich właściwym wyrobem; od nich też sprowadzają je sobie Podhalanie, równie jak muszelki.

Im bliżej jesteście Kościelisk, tąd bardziej droga, choć nieznacznie, prowadzi w górę, czego dowodem najlepszym jest hałaśliwy szum czarnego Dunajca, bieżącego tu ciągle w gwałtownym spadku. Jedzie się brzegiem, pomiędzy świerkami, jedynymi prawie tych państw mieszkańcami. Wyjeżdżasz z lasu—przed tobą wyrasta z ziemi ściana skał, ale rozdarta od góry do spodu, jak wyłom w murach twierdzy, przez który z łoskotem wali się strumień leśny. To twój dawniejszy towarzysz podróży, czarny Dunajec; przebił sobie widać to przejście, aby pohulać po świecie... Minawszy tę bramę skalistą, znajdujesz się nareszcie w dolinie kościeliskiej. Na pierwszy rzut oka sprawia ona bardzo wdzięczne wrażenie. Przed tobą rozciąga się długa na parę tysięcy kroków, lecz niezbyt szeroka błonia przelśnicznej zieleni, przerznięta wzdłuż szumiącym Dunajcem, a zamknięta w kształcie długiego obłoku stromymi ścianami skał, które od dołu po wierzch porosły gęszczą świerków. Same tylko szczyty tych bocznych ścian sterczą bardzo malowniczymi gruppami głazów, tworzących niby zamczyska, niby ruiny klasztorów, niby jakieś olbrzymie i potworne posągi, jak gdyby je tu Layard z Khorsabadu na wystawę przysłał... Cała ta dolina, a raczej brzegi kotliny, są ugarniowane temi fantastycznymi głazami, które stają się prawdziwie zachwycającymi, gdy słońce zeszele jako zachodni promień, co je swym ogniem obleje. Dolina ta, widziana bez słońca, traci większą połowę swego uroku, na którym jęj nie zbywa, obok całej szorstkości alpejskiej dzikiej natury. Nie podzielam zdania tych, co nazwę kościeliskiej doliny wywodzą od zadanego kłeski Tatarom, którzy tam zostawili swoje kości, gdyż kości ludzkich nikt tam nie znajduje; daleko prawdopodobniej miano dostało się tej dolinie od pobliskiej wsi zwaną Kościeliskiem, dlatego że miała swój kościół, a dolina należała do niej jako gromadzkie pastwisko. Poeta *Sobótka* upodobał sobie jednak Tatarów i kazał im po najniebezpieczniejszych urwiskach przeprować się na Węgry, kiedy daleko wygodniejszą drogą mogli tam dojść koło Czorsztyna i Pienin. Bądź jak bądź, niechaj sobie zostanie legenda o tej dolinie, zwłaszcza kiedy jęj poeta tę piękną strofkę poświęcił:

Rokoszna—jedyna
Pochmurna dolina,
Dla całych Tatrów ponęta:
Lecz lasy i skały
W krąg ją opasały,
I bramą z głazów zamknięta...

Jakie wnijsie do Kościelisk, takie i wyjście: i tu i tam rozdarta skała, przez którą Dunajec szumi, ten jednakże w końcu kryje się po jęj bokach, a szeregi stopniowo wznoszących się skał zakończy cały obraz.

(Dokończenie nastąpi.)

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

W tych czasach na stromiej ścieżce wiodącej do polskiego Parnassu, pojawiła się niezwykła liczba nowych ochotników, dążących śmiało to na szumnych i rozczulających prospektach, to na reklamie, to na tysiącach prenumeraterów, nie pytając czy tam wła-

ściwa jest dla nich rezydencja, czy po krótkim niby-to pobycie, nie potrzeba będzie zjeżdżać, przy śmiechu patrzących. Nie wiem czy kiedy znajdzie się sposób na obudzenie ambicyi ludzkiej, przy tej kataraktie autorskiej ciężającej na oczach pisarzy takich jak ci, którzy obecnie pod mianem to *Lirnika polskiego*, to *Klesta*, gaszą u źródła Hipokreny fałszywe pragnienie sławy literackiej. Czyż może być autorem czegokolwiek bądź, prócz nedorzecznosci, ten, kto nawet porównać nie potrafi z cudzą pracą swoją, aby przez porównanie zobaczyć jęj nicość, lub spogląda na dzieło swe oczyma sowy rozkochanej w swym płodzie? Boć przyzna każdy, że kto utwór swój publikuje, uważa go tąd samém za godny publikacji, za dobry. Pomyłka w tym razie ujść tylko mogła Rozbickiemu, ale to na raz sztuka; dzisiaj kto zmierza na tę wysokość, jest tylko smutnym jego plagiatorzem. Jak to pięknie zalecać nas musi poza granicami kraju, jeśli ludzie spotkają się z podobnym Lirnikiem, Klestem, lub Piewcą z nad Dźwiny i t. p. „Otóż, powiedzą, jak to społeczeństwo polskie musi być wysoko estetycznie wyrobione, kiedy tam podobne ramoty, per fas czy per nefas, ubiegają się o prawo obywatelstwa.“ A prawdę powiedzić, podobnych ramot na zły czy dobry rok zawsze uzbiera się garstka, i to sobie tak śmiało, bez ceremonii zasiada do towarzystwa z tąd, co namistotnie przynosi korzyść i chlubę! Trzeba abyśmy raz poważniej patrzyli na to co się zwie literaturą, bo ona ma wielki związek z życiem; bawiliśmy się dosyć, czasby traktować rzeczy na serio i nie dopuszczać żakostwa. Gotowiliśmy przepuścić mierności, bo mierność często w dobrej wierze sądzi się czémś wyższém; więc należy jęj otworzyć oczy, jeśli można, skierować do czego innego; ale mamy sobie za sumienny obowiązek bez żadnej oględności wskazywać to, co jest dowodem albo oburzającego lekceważenia czytającego ogółu, albo skutkiem zwichnionego organizmu. Pomiedzy nowościami, na przeczytanie których skazali nas w tych czasach nowo występujący autorowie w dziedzinie literatury pięknej, są jednak dwie, którym należy się kilka słów od sprawozdawcy, nie przeto aby one coś zawazyły na szali zdobyczy umysłowych, ale ze względu na samych autorów.

Pan Adam Maliszkievicz wydał w Kijowie zbiorek swoich wierszy p. t. *Pylki*. Człowiek to widać młody, czytany, ukształcony, z pewnym smakiem w wysłowieniu,—słowem mający wszelką możność być użytecznym krajowi na polu piśmienniczym, ale z bardzo słabą perspektywą na poetę. Gdyby w nim był jakikolwiek talent, to przecież w tym tłumie wierszy znalazłaby się choć jedna strofa oryginalna, śmiała, serdeczna, dająca świadectwo samodzielności: tymczasem u p. Maliszkievicza wszystko jest popolitością, przypomnieniem lub zimną parafrazą jakiegoś konnału. Napisać wiersz, nie jest to taka sztuka, zwłaszcza dla człowieka ukształconego, aby z nią zaraz występować na popis publiczny. Kto już włada niezłe językiem, to upolowawszy myśl jaką, kiedy siądzie przy stoliku, potrzebie sobie czoło, pomyśli o pewnym układzie i sensie, to i wyciągnie w linię kilka trzynastozgłoskówek, uderzy je głowami w rym i tak w ciągu wieczorka postawi na nogach jaki znośny sonet lub odę. Doprawdy, że to nie tak trudno: w iluż to tekach znajdują się podobnego rodzaju grzechy młodości, pokutujące w zapomnieniu i dlatego właśnie zasługujące na odpuszczenie; a grzechy to są istotne, bo zabierają czas, rozmarzają w gnuśności, zbeżyteczniają człowieka. Gdyby nam więc wolno było radzić panu Maliszkieviczowi, to chętnie wskazałibyśmy mu inną drogę, na której jego zamiłowanie w literackich zajęciach pożywniejsze przyniesieby mogło owoce. Czytał on już widać dosyć i zastanawiał się nad życiem, nad nauką i sztuką: wolelibyśmy więc, aby sobie wybrał jakąś część z ogólnej dziedziny wiedzy, wystudował ją w miarę możliwości i dzielił się z nami prosto tąd, co sobie zarobi prawdziwą pracą. Niech to z początku nie będzie świetne, niechby się ograniczało na wiadomościach; zwolna zdanie zacznie się wyrabiać, rozumowanie męźnić, za czém pójdzie korzyść i zasługa: ale kombinowanie frazesów nie jest godnym człowieka, który był w Rzymie i uczył się po grecku; zostawmy tę robotę nieukom i próźniakom z powołania, marzenia zaś tym, którym je podpowiadają tajemnicze duchy fantazyi.

W rzeczach nie należących do sfery imaginacyi ale

nauki, pióro jest dobrym przewodnikiem własnego ukształcenia i postępu. Kiedy zabieramy się piśmiennie ofiarować przedmiot jaki, z pewnym względem na społeczny nam stan nauki, wtedy dopiero daje się uczuć wszelki brak danych i potrzeba ich wynalezienia; idąc za głosem tej potrzeby, systematyzując odkrycia, budujemy sobie pewniejszy dla nauki grunt, zmuszamy się do dokładności w myśleniu, poglądzie i stylu, bo każda nasza piśmienna praca jest niby egzaminem przed publicznością z postępu jaki uczyniliśmy w nauce. Przeciwnie, zajęci wyłącznie pracą imaginacyi, poetyką lub powieściowaniem, odstępujemy od ślęczeń naukowych, bo twórczość z niemi nie w koniecznym zostaje związku. Tym sposobem umysł nasz zwolna jałowiejac, nigdy nie dorasta swego czasu i zasypia sobie w stanie małoletności. Jest to stan grożący wszystkim, co zaraz po wyjściu ze szkół, uwiedzeni pewnym stopniem zdolności, chęcią łatwego autorstwa, karmią się samemi utworami imaginacyi, w nich tylko czerpiąc siłę do produkcji własnej, a świat, życie i książka poważna przed nimi zamknięta.

Jest to stan, w który obawiamy się aby nie popadł i autor powieści p. t. *Skiba i Ostoja*, świeżo z odcinka Kroniki przedrukowanej. Ze szczupłych kolumn (czyli, jak powiadają neologowie — z błamów) dziennikarskich, z efemerycznych wiérzyków i szkiców, wyszedł pan Przybysławski na szerokie pole towarzyskie i napisał powieść wcale nie kieszonkową. Ulepił on w niej dwóch bohaterów, któremi obraca dowolnie; jednemu każe być złym, drugiemu dobrym, od kolébki niemał aż do ślubnego kobierca; — ale dlaczego? to jest już tajemnica autora; chyba może dlatego, że Ostoja jest synem zamożnego szlachcica, a Skiba chłopskim sierotą, więc tedy przypowieść o wielbłądzie i uchu igielnym. Raportowanie faktów nie jest powieścią, tak jak postać odbita w wodzie lub zwierciadle nie jest obrazem artystycznym, tylko prostym optycznym zjawiskiem. Utwory w rodzaju powyższego wydają się nam jak szczebiotanie rozgarniętego dziecka o przedmiocie przechodzącym jego pojęcia: ono opisuje go ze stron powierzchownych, najbliższych zmysłom, a nie wspomina o gruncie rzeczy, o tém co utworzyło kształty powierzchowne. Gruntem każdego utworu człowieka jest on sam, duch jego, a ta właśnie strona w powieści pana Przybysławskiego pominięta; sytuacje, w którychby mógł się rozwinąć duchowy charakter człowieka w dzielnym obrazowaniu plastycznym, zastąpione tu są zapewnieniem że się tak stało, lub pozbyte kilką opowiadawczemi ustępami.

Pomimo że ta powieść ze względów powyższych niema żadnej estetycznej wartości, jednakże nie powiadamy, iżby autor nie mógł kiedyś skuteczniej w tym rodzaju pracować: widać tam pewną zręczność architektoniczną i zdolność inwencji, lubo dotąd ubogą, a obok tego język dobry, staranny, peryody gładkie i okrągłe, gdziekolwiek nawet gotowibyśmy przyznać mu oryginalny dowcip. Obok tych zalet wszakże nie spostrzegamy jednej właśnie rzeczy, którą pragnęlibyśmy widzieć zawsze i wszędzie. Czem gimnastyka, fechtunek, taniec, jazda konna jest dla ciała, tém nauka dla umysłu; człowiek posiadający naukę nie potrzebuje się nią popisywać, ale czuć ją w nim na każdym kroku, ona nadaje mu ton i dystynkcję, która go odróżnia śród inych. Inna waga jest jego myśli, inna doniosłość słowa. Otóż tego właśnie nie widać w panu Przybysławskim: jego traktowanie jest powszednie, nieinteresujące, jałowe; jeżeli zatem pragnie utrzymać się w godności autora, niechże przejdzie stopnie które do tej godności prowadzą, niech się zapatrzy na swoich znakomitych poprzedników w zawodzie powieściopisarzkim, ile to oni odbyli drog surowych nauk, niezależnie od imaginacyjnych produkcji. Radzimy mu dużo zastanawiania się, nauki *à discrétion*, ile się zmieści, jeżeli chce skorzystać należycie ze zdolności jakie mu przyszły bez pracy, bo to już dawno upłynął wiek złoty. Jeżeli umysł jego dojrzeje, wzbogaci się tyle, ile wymaga dzisiejsze stanowisko piszącego, wtedy uwaga zatrzyma mu rękę przy każdym niefortunnym zwrocie, obrazie lub pomysle; będzie on najprzód kompetentnym sędzią samego siebie, a jeżeli wtedy sam z zadowoleniem spojrzy na swoje dzieło, to dopiero i my z przyjemnością i pociechą zobaczymy go w gronie autorów.

Do redakcyi Tygodnika Ilustrowanego.

W życiorysie Stanisława Staszica w nrze 44 Tygodnika z r. b. czytamy:

„Zebrane kwoty Staszic składał na ręce pani Zamojskiej; był to zawiązek późniejszego majątku Staszica. Wdowa po ordynacie na odbierane summy dawała mu proste rewera, bez świadków i wszelkiej formalności, a nawet pewnego razu, kiedy do dawnych 4000 dukatów dołączył 2000, pani Zamojska rewersu nie przepisała, lecz tylko poprawiła czwórkę na szóstkę, z czego później urósł niezmierny dla Staszica kłopot. Ordynatowa umarła, a ordynacją zarządzał naówczas *Karski*, osobisty nieprzyjaciel Staszica i t.d.“

Co do tego ustępu, otrzymaliśmy od p. Grzegorza Jahołkowskiego emeryta, następnę sprostowanie.

„Nie tak było (pisze w udzielonej mi notatce), a pewną o tém wiadomość posiadam od ś.p. Adryana Krzyżanowskiego, b. prof. warszawskiego uniwersytetu.

„Ś. p. hr. Zamojska, wdowa po ordynacie Andrzej, napisała własnoręcznie w testamencie, że chcąc wynagrodzić i okazać swoją wdzięczność ks. Staszicowi, za staranną edukacją dwóch jej synów Aleksandra i Stanisława, zapisuje mu 40,000 dukatów; sukcesorom zaś zdawało się że miało być 4000, i tylko czwarte zero innym charakterem i atramentem dodane zostało. Kwestyą tę jednak zdecydował na stronę Staszica książę Adam Czartoryski, generał ziem podolskich, przekonawszy nowego ordynata a zięcia swego, Stanisława hr. Zamojskiego, że jego nauczyciel Staszic o tym zapisie wcale nie wiedział, a tém bardziej dopisania zera dopuścićby się nie odważył. Poprzednio nawet miał Staszic otrzymać wynagrodzenie 400,000 złp. od kanclerza wielkiego koronnego Andrzeja Zamojskiego, za czynną pomoc jaką mu udzielił przy układzie *zbioru praw*, podanego na sejmie 1778 roku.“

Tyle obejmuje notata p. Jahołkowskiego. Ś. p. Tomasz Święcki, autor *Opisu starożytnj Polski*, opowiadał mi zgodnie z podaną tu wiadomością o tym sporze i następnie układzie, a wiedział o nim dokładnie. Nieprzyjaciele Staszica podnieśli go oburzenia; gdy się jednak rzecz wyjaśniła, umilknąć musieli.

Co do pierwszych posiedzeń b. towarzystwa przyjaciół nauk, prostuje także p. Jahołkowski w swj notatce podane w Tygodniku wiadomości.

„Pierwsze posiedzenie prywatne odbyło się dnia 16 listopada 1800 r., w domu Stanisława hr. Sołtyka przy ulicy Nowolipki nr 2406, gdzie zaraz ułożono spis osób mających składać towarzystwo. Po tej organizacji w bibliotece księży pijarów przy ulicy Długiej, dnia 23 listopada t. r. zasiadło zebrane grono, a po zagajeniu przez księdza Jana Albertrandego biskupa zenopolitańskiego, przystąpiono do wyboru prezesa i zgodnie tegoż Albertrandego wybrano, sekretarzem zaś znanego tłumacza Iliady, Franciszka Ksawerego Dmóchowskiego. W tej to bibliotece towarzystwo odbywało posiedzenia swoje, dopóki Staszic, zasiadający w tém gronie, nie zakupił w roku 1806 dwóch domów na Kanonii pod nrami 85 i 86, i takowe w jedną possessyą zrestaurowawszy, darował towarzystwu, które tu od 13 grudnia 1806 r. stale miało posiedzenia swoje. W r. 1820 towarzystwo sprzedało rządowi te domy, a do otrzymanej summy Staszic znakomity fundusz dodał i wybudował w roku 1820 gmach okazały, w miejscu gdzie dziś akademія medyko-chirurgiczna.“

W przedmiocie sporu Staszica o zapis testamentowy 40,000 dukatów, ś.p. Tomasz Święcki pokazywał mi spisana o nim szczegółową wiadomość, czerpaną u samego źródła, którą miał ogłosić przy życiorysie Staszica, jaki zaczął pisać. Czy zachowała się w papierach zmarłego mecenasa, nie wiem, ale sam ją czytałem. Wyjaśniała ona rzecz całą, zgodnie z podaniem p. Jahołkowskiego. Co do podanej zaś wiadomości, że hr. Andrzej Zamojski dał Staszicowi 400,000 złp. za pomoc przy pisaniu praw, jest to rzecz wątpliwa, nigdzie bowiem o tém nie powzięliśmy żadnej pewności.

K. W. W.

KORRESPONDENCYA

TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Kraków, 20 sierpnia 1860 r.

Są miejsca na świecie, obdarzone świetną przeszłością, których fizyognomia zewnętrzna ma pewną

odróżniającą ją od innych cechą powagi, przypominającą minioną wielkość. Jest to coś, co określić trudno, coś czego istoty uchwycić niepodobna, a co jednak każdy czuje. Cecha tych miejsc leży w powietrzu, w całym zresztą nastroju miejscowości i jest mimo całej swj idealności tak wybitną, iż się każdy człowiek czuciem na niej pozna. Do rzędu miejsc tych należy Kraków, a ktokolwiek po raz pierwszy do niego zawitał, temu niezawodnie przedstawiał się smutnym i ponurym. Każdemu przychodzi na myśl minione wieki, i zdaje się że każdy gmach, każdy mur, każdy kamień, pamięta tu dawną wielkość. Można by się łatwo w inny świat wmarzyć, gdyby nie dźwięki obcej mowy i snujący się dokoła lud, nieprzypadający do reszty otaczających przedmiotów. Większa harmonia zachodzi między Krakowem a jego terażniejszymi mieszkańcami, gdy wieczorem, przed obrazami świętymi, pobożny nasz lud pieśni śpiewa; wtedy to jeszcze znać, że stolica Jagiellonów nie przerobiła się tak już całkiem na kosmopolityczną mieście, jakby to na pierwszy rzut oka sądzić można.

Kraków nigdy, nawet w zimie, nie bardzo ożywiony, zupełnie jest pustym przez kilka letnich miesięcy, kiedy znaczna część rodzin tu mieszkających, a podczas wakacyj i młodzież akademicka oraz szkolna, miasto opuszcza, zostawiając tych tylko, którym żelazna konieczność pozostać nakazuje. Mówiąc o wyjazdach, dodać winienem, dla uniknienia fałszywych posądzeń, iż publiczność nasza, oprócz małych wyjątków, nie wyjeżdża za granicę, lecz na wieś, albo do wód krajowych.

Zdrowiska nasze niemniej licznie jak innemi laty są zwiedzane. Ze wszystkich stron kraju zjeżdżają się goście i lubo stan powietrza w tym roku przez większą część lata był niekorzystny, to i tak Krynica i Szczawnica nie mogły wszystkich przybywających pomieścić. Skuteczność wód naszych zdrowisk w rozlicznych chorobach nie podlega wątpliwości. Tysiące chorych rok rocznie spieszy tutaj po wyzdrowienie lub ulgę w słabości. Chodziło tylko i chodzi dotąd o usunięcie lub przynajmniej zmniejszenie w naszych zakładach kąpielowych, rozlicznych, zwłaszcza dla chorych bardzo uciążliwych niewygód. W Krynicy i Szczawnicy najbardziej czuć się dawał brak wygodnych mieszkań, żywności, usługi. Jest atoli nadzieja, że wkrótce zakłady nasze kąpielowe znacznie się podniosą, a jeżeli nie staną w zupełności na równi z zagranicznymi, to przynajmniej przyczyny główne terażniejszych słusznych skarg usunięte zostaną. Spółka zdrowisk krajowych, na której czele stoi p. Mieczysław Skarzyński, obywatel światły i znany z gorliwości o dobro publiczne, niezmordowanie krząta się około ich podniesienia. W Szczawnicy, gdzie wydzierżawiła na dłuższy przeciąg czasu pewną część gruntów, aby na nich wybudować hotele, domy mieszkalne i łazienki, już na przyszły rok goście spodziewać się mogą znacznych pod każdym względem ulepszeń. Ze szczególną starannością pracuje spółka także nad podźwignieniem zakładu kąpielowego w Swoszowicach, w pobliżu Krakowa, nad głównym traktem do Wadowic położonego. Obfitość i siła tego źródła siarczanego, tudzież bliskość Krakowa, rokują mu najpiękniejszą przyszłość, niemniej atoli podźwignienie go niemałych nakładów i pracy potrzebuje. W ogóle rozwiązanie zadania, jakie sobie położyli mężowie pracujący nad podniesieniem zdrowisk naszych, natrafi na znaczne trudności i wielkiej wymagać będzie wytrwałości, ale za to zaskarbią sobie uznanie wszystkich tych, którzy pojmują jak ważną jest pod wszelkimi względami ta kwestya. Za przykładem przez nasze towarzystwo danym, pójdą, zdaje się, i inne części kraju; dowiaduję się bowiem, iż w Truskawcu, pod przewodnictwem hr. Russockiego, zawiązało się towarzystwo, w celu podniesienia rzeczzonego zakładu kąpielowego.

Od 1 września 1860 władza rządu krajowego krakowskiego ustaje, a rząd krajowy, oraz dyrekcya skarbowa, buchalterya i niektóre inne władze wyższe przenoszą się do Lwowa. Długo wątpiliśmy czy ten projekt przyjdzie do skutku i uwierzyliśmy dopiero, gdyśmy kilka dni temu mnóstwo furmanek opakowanych aktami widzieli, które do Lwowa wysłano.

Bo, i ona od czasu jak jego wybrała,
W sercu i w modłach starca nazawsze została.

Lzy zdradziły ową mniemaną cudzoziemkę, i gdy Tomasz Zamojski drzwi otworzył, znalazł swą żonę w objęciach czcigodnego starca nauczyciela.

W kilka lat później, w maju 1629 r., Szymonowicz, przyciśnięty wiekiem (liczył już bowiem 71 lat) zakończył życie w tym samym dworku w Czernięcinie, z kąd zwłoki jego przeprowadzone zostały do Zamościa i pochowane w kolegiacie Zamojskiej, gdzie mu w kaplicy grobowej rodziny zamojskich siostrzeniec jego Kacper Solski, magister filozofii i medycyny, nagrobek wystawił.

Dzieła jego kilkakrotnie przedrukowywane i tłumaczone na obce języki, zebrał i wydał w r. 1772 Anioł Durini, nuncyusz papieżki w Polsce.

Czernięcin wrócił do dóbr Tomasza Zamojskiego i do dziś dnia należy do ordynacyi.

Dom w którym mieszkał Szymonowicz, a który przedstawia rycina, teraz nachylił się do upadku. Potrzeba było wystawić nowy dom dla dzierżawcy i takowy obok stanął, ale jeszcze dotąd nie jest zamieszkały. Spodziewamy się iż zarząd dóbr ordynacyi zamojskiej starać się będzie o ile tylko możność pozwoli o zachowanie tej pamiątki po znakomitym mężu, a nadewszystko nie dozwoli aby dom ten na inny jaki użytek był obrócony. Piszą nam już nawet, że wydane zostały polecenia, aby pamiątka ta była jaknajtroskliwiej szanowana. Na belce tego domu znajduje się wryty rok 1604, a zatem stoi lat 256.

Za dworem wśród wioski znajduje się drewniany kościółek św. Katarzyny, niedawno wyrestaurowany. Jest on filią parafii mokrolipskiej, — a pamiętny z tego, że długi czas był przy nim komendantem ksiądz Szorc, dawny kapelan b. wojska polskiego, sławny na całą okolicę dziwak, malarz i poeta. Wiele osób w okolicy posiada jeszcze zapewne po nim różne rysunki, z wierszami do okoliczności stosowanymi. Przytaczamy tu jeden szczegół: ksiądz Szorc nie mógł się porozumieć z wójtem gminy Radecznicą p. Gąsiorowskim i ciągle miał do niego jakieś pretensje, — wymalował więc raz siebie na koniu w jakiejś bitwie, walczącego z kilkoma nacierającymi nieprzyjaciółmi, u dołu zaś umieścił napis:

Dawniej Szorc Lew nie srogi,
A dziś Gąsior szczybie w nogi.

I całą te robotę posłał na wiązanie w dniu imienin swemu przeciwnikowi. *Ant. Wie.*

PAN JACEK BRZUCHAŃSKI.

OPOWIADANIE JÓZEFA SZUJSKIEGO.

Rzecz wzięta z *Gigantomachii Kordeckiego.*

(Dokończenie).

Generał Burkard Miller był człek znamienity, Ranami i znakami zwycięstwa okryty, Pogromca Danji, w wielu bataljach szczęśliwy, Wesoły i hulaka. Czemuż to jedynie Przed kurnikiem-klasztorem taki frasośliwy? Siedzi w namiocie smutny, gniew swój topi w winie, I taką wściekłość z żrenic swych ponurych ciska, Że sami Szwedzi nie chcą zagadać doń z blizka. Odkąd w szturmie siostrzeniec poległ ukochany, Strzelający na klasztor z wojennej bombardy, Czarnym sukmem obwiesił namiotowe ściany, Zbladł jak trup i ku ziemi kark pochylił twardy. Dzień i noc siedzi cichy, do wodzów nie mówi, Czasem każe armaty sunąć ku zamkowi, To znów cofnie i ręką niecierpliwą chynie: „Nie! nie zburzyć człekowi diablicy świątynię!“ (Bo tak heretyk Panne Najświętszą nazywał). Co więc, we śnie nieraz straszliwie się zrywał, Krzyczał dziko i w górę nad siebie wskazywał, Ryczał płaczem i piszcząc: „Widzicie, tam w górze Mój siostrzan padł, a ona nad nim na tej chmurze, Ona, niewiasta biała. Jasność niesłychana Od niej bije, zabrała mi mego siostrzana!“ A potem pięście składał i znów nieprzytomnie Płakał: „Niewiasto boska! pójdz do mnie, o do mnie! Oddaj mego Olafa. Zmiłuj się nademną!“ Gdy wodze szturm radzili, on mawiał: „Daremno!“ Tarzał się wściekły w koło i z strasliwym śmiechem Krzyczał: „Generał Miller ucieknie przed mnichem!“

(Dodatek do Nru 50 Tyg. Ilustr.)

Jmćpan generał Miller na łożu bojowém
Leżał, podwładnych żadnym nie uczciwszy słowem,
Chłonąc puhary wina, patrząc obłąkanie,
Jak gdyby widma widział na namiotu ścianie,
Kiedy mu hałas dziki przerywa milczenie:
„Kto mi śmie mącić spokój?“ zakrzyknął szalenie,
Zerwał się i wojenną zadzwieczał ostrogą.
„Jeńca prowadzą prosto do namiotu drogą.“
„Jeńca?“ zazgrzytał Miller. „Dawnom nie wziął jeńca!
Odplaci mi sowicie za mego siostrzeńca!“
Wchodzi Jacek, a rajtar rzeknie: „Generale!
Tego szpiega złapałim na fortiecznym wale,
Jak rozmawiał z mnichami i pismo im rzucił.“

Tygrysim susem nagle generał się rzucił:
Lecz Jacenty nie zadrzał, był blady i cichy.
„Taki jeniec! Staruchów wysyłają mnichy!
Miller, co zmódz nie może rycerzy w kapturze,
Niewart innych. I taki podynda na sznurze!
Szpieg! szpieg! Coś ty za jeden? odpowiadaj stary!“

„Jaśnie wielmożne pany i reimentarze!
Klecham i organista od świętej Barbary,
Niosłem księżom kolędę, jak powinność każe,
Odmówilem oracyą, opłatki podałem,
Ale do księży więcęć słowa nie gadałem.“

Pan generał włos czarny zaszarpał na brodzie
I krzyknął: „Tacy wszyscy, tacy wszyscy w grodzie!
Cisi jak duchy, jako czarty wytrzymali,
Czy to młody, czy staruch, co mu się łeb trzęsie!
Lecz czekaj! może inak będziemy gadali,
Kiedy Fryc ci żelazkiem powiedzie po mięsie.
Wołać Fryca!“

Pan Jacek łysiną zaświeci
Schyloną, za kolana ujmie generała:
„Jaśnie wielmożny panie, mam żonę i dzieci,
Stary jestem, starego pożyć, to nie chwała:
Siwy włos mam, nie chwała siwą głowę térać.“

„Ha! ha! tobie się nie chce staruchu umierać!
Jest rada, wyznaj wszystko, a powrócisz cały.
Powiedz, co słyhać w zamku? co mnichy gadały?
Jak się długo opięrać myślą méj armacie?
Znasz klasztor, no! to powiedz, które miejsce macie
Za najśłabsze, gdzie siła téj diablicy leży,
Ze jój pożyć nie może huf zbrojnych rycerzy?
Gadaj stary, to złotem obsypię cię jeszcze!“

A Fryc, kat obozowy, zjawił się, w czerwony
Kubrak ubran i zwolna kładł na wszystkie strony
Obcegi i pilniki, łańcuchy i kleszcze,
Dmuchał na ogień w piecu, rozwieszał swe sznury
I panu Jacentemu śmiał się w twarz ponury,
Pokazując rękami, jak użyje broni,
Co upartego człeka do wyznania skłoni.

Zbladł pan Jacek, pot zimny po czole mu leci;
Padł plackiem: „Generale! mam żonę i dzieci!
Mam córeczkę nadobną, pociechę starości!
Generale! tyś wielkiej doświadczył załości,
Wiész co nieszczęście! Szczérzem ja ciebie żałował,
Żałował przeor, iż siostrzeńca postradał.
Ty wiész, jakby bezemnie biędny dom mój biadał,
Ktoby na moję córkę Haneczkę pracował?“
Ale pan Miller śmiechem ogromnym się śmieje:
„A co staruchu! widać ci już w głowie dnieje!
Nie pomoże ci teraz klasztorna diablica.
Gadaj stary! lub pójdziesz w ręce mego Fryca!
Czas leci, wielcem nowin z klasztoru ciekawy.
Zobaczymy, staruchu, czyś katolik prawy,
Powiedz, czyli nie powiesz?“

Wtedy krew od serca
Buchła panu Jackowi w jego twarz wychudłą:
„Nie powiem generale! Ja nie przeniewierca,
A żem katolik, niechaj powię krwi méj źródło!
Lecz iżem ojciec dzieciom, trudneć mi ofiary,
Więc wołamć jeszcze panie: uchroni mnie od kary!
Patrzaj! jam człek słabiuchny! jam jest człowiek sta-
Praca rozgryzła ciało i włosy me białe. [ry!
Nie tyraj starych kości, co na pańską chwałę
Tyle lat już przeżyły, niech spoczną w pokoju!
Tyś człek wielki, dowódzca sławny w wstępnym boju,
Ale nie zbójca starców, kaleków i dzieci!
Zlituj się!“

I skroń zniżył ku Millera nodze.

Ale wtedy generał odepchnął tak srodze
Głowę starca, że zerwał się dumny i śmiały:
„Krew moja na twą głowę i na twych niech zleci!
Nikt darmo nie potęrał głowy posiwiąłéj!“
„Weźcie go!“ huknął Miller. Tu oprawce wpadli,
Sznury, pasy na ciało obnażone kładli,
Że jak ptaszyna z skrzydły rozwianemi w koło,
Zawisnął pan Jacenty. Lecz ciche miał czoło,
Zaciął zęby i trwogi nie pokazał ruchu.

Dano znak. Sznury na wsze rozbiegły się strony:
Przez zęby pisnął Jacek w środku zawieszony;
Opadły mu ramiona, zachrzęszczały członki,
Upadł o ziem.

„A co tam? czy gadasz, staruchu?“
Pan Jacek nic nie wyrzekł, coś szeptał po cichu:
Do Panienci Najświętszej odmawiał koronki.

„Ho! ho! w tym starym, widzę, dusza jakby w mnichu!“
Zawył Miller i wściekle z złości się zapienił:
„Ale widzę się pilnik dobrze rozczzerwienił!
Spróbój Frycu!“

Z żelazem ognistém Fryc kroczy,
Trzykroć panu Jackowi zaświecił przed oczy:
Jacek głowę położył brodą na podłodze
I milczał. Syk strasliwy rozlega się srodze,
Drgnęło ciało, a oczy zaszyły czechłem białém.
Wyciągnął się pan Jacek i zdał się omdlałym,
Ale na twarzy spokój. Usta drgają jeszcze
Słowem: Marja!

„Mów stary! czekają cię kleszcze!“
Starzec spojrział. W żrenicy dziwne miał promienie
I nie widział Millera. Gdzieś w namiotu cienie
Patrzy, dłońmi białemi chce ruszyć napróżno;
Zachwył jakiś i rokosz ma w twarzy pobożną,
A czasem rusza głową, by nadstawił ucha:
Czy harmonji aniołów i ich śpiewu słycha?
Patrzy coraz promiennieć i jak jasne świeće
Pośród namiotu płoną dwie jego żrenice.

„Gadaj stary!“ Znów cisza. Miller się rozpienił,
Zaledwie: „Kleszczy, kleszczy, kleszczy!“ wyszeplecił,
Fryc z oprawcami ujął strasliwe narzędzie,
Podniósł starca, bieluchne ciało się zwiesiło
Przez rękę jego... Potém żelazo się wpiło,
Krew trysła, Jacek zadrżał. „Ha! ha! mówić będzie!“
Ale w kilku podrzutach Jacenty się rzucił
Jak zgruchotan o ziemię, głowa jego biała
U stóp Millera w włosy srebne się rozlała.
Podniósł ją jeszcze, w górę ku niebu gdzieś zwrócił:
Wtedy wszyscy się nagle od niego cofnęli,
Tak była jasną. Cisza nastała straszliwa,
A głosem, jak brzęk muchy po szybie dziendzieli,
Pan Jacek nagle z piersi skrwawionéj wyjęka:
„Matka Boska nas zbawi, Przczysta Panienska!“
I uderzając czołem o ziemię, omdlewa.
Strupieszał pan generał na środku namiotu,
Strupieszeli wodzowie. Aż głosem grobowym
Wyrzekł wódz: „Starca złożyć na łożu bojowém
Mojém własném i w dobrém mieć go zachowaniu,
A jutro niech trębacze dadzą znak odwrotu.“

Nikt się nie oparł generała zdaniu,
A Miller czoła swego ku ziemi ugina:
„Vicisti diva mulier, vicisti Regina!“

Gdy się Jacenty zbudził, zdziwił się niemało:
Lampy złocistej światło mu nad głową drgało,
Ulęę czuł wielką w ciele, rany miał chędogo
Zawinięte i delją był przykryty drogą,
A w głowach obcy ludzie czekający stali
I badawczém spojrzeniem w błądą twarz patrzali.
Z obozu jakiś hałas przytłumiony szumiał,
Jakieś gonienie dziwne, koni tępotanie;
Ale pan Jacek, jako osłabion był mocno,
Nic się z owego ruchu domyslić nie umiał,
Jeno począł odprawiać swą modlitwę nocną
I czuł, jak go nachodzi dobroczynne spanie.

Więc zaczął zwykły pacierz i w półświadom siebie
Dziękował za tę ulgę Paniencie na niebie,
I lubość jakaś wielka, z bólu urodzona,
W łzach żrenicy mu błysła i w westchnieniu z łona
Dobyla się serdecznie. Lecz ciało strudzone
Nie dało mu domówić „Pod twoję obronę“,
Oczy się zakleily, w poduszkę skroń składa,
Szeptce jeszcze i przez sen: Zdrowaś Marja! gada,

Aż usnął, poraz pierwszy niekończąc pacierza,
Ale za złe mu tego anieli nie wzięli,
Ani Panienska święta, co stanęła w bieli
Nad głową starca rzewna, niewidzialna, cicha,
I na walkę snu z modłą lubo się uśmiecha,
A potem skroń stareńką dotknie dłońmi swemi,
Aby duszę pokrzepić marami rajskimi.

* * *

Rajską-ż marę miał Jacek. Ledwie zamknął oczy,
Wielkie światłości morze przed nim się roztoczy,
Niby śnieg spromieniony wschodem słońca złotym.
Ujrzał górę ogromną, której szczyt promienny
Stykał się wieżycami, z niebieskim namiotem.
Na górze klasztor, do Częstochowy podobny,
Jeno w bogactwie murów i wieżyc odmienny.
Z drogich kamieni mury go w wieniec nadobny
Otoczają, a kościół wydaje się srebrnym,
Złote ma dachy, wieżyc ma złożony rąbek,
A nad każdą wieżycą bieluchny gołąbek
Z różczką w dziobku się waży w błękitie podniebnym.
Co najpiękniejsze drzewa, najwonnejsze kwiaty,
Wszystkie się uśmiechają wdziękiem nieśmiertelnym
Rubinów i szmaragdów, jak księżę ornaty,
Które Jacenty w skarbcu podziwiał kościelnym.
Woń jakaś dziwna w wietrze i cudowna wiosna;
Z głębi wieżyc harmonja nadlata radosna
Dzwonów; z kościoła organ silnie się odzywa,
To huczy jako gromy, to jak słowik śpiewa.
Zadziwił się pan Jacek i spojrzął po sobie:
„Musi być wielkie święto, a jać tu w chudobie,
W kubraku!“ Ale gdzie tam! Dziwnym przemienie-
Miał kontusz swój święteczny i pas złotolity [niem
I żupan własną ręką Haneczki uszyty,
Kołpak futrzany, by przed Bożem Narodzeniem
Obchodził z opłatkami szlachtę okoliczną.
A siwka, siodło nowe i trzęzłą przesłiczną
Mając, stała bundziucznie i czekała pana.
„Cudo! myśli pan Jacek, i rzecz niesłychana,
Ale siada i prosto w górę jedzie sobie.
Przyjechał w bramę, czyta. W złocistej ozdobie
Napisano: „Niech puka, każdy sługa Boży
A rajską bramę zaraz chętnie się otworzy.“

Z roskoszą Jacek napis bramny slabizował,
Aże pomyślał sobie: „A no, niechwalący,
Toć i ja sługa Boży Marją miłujący.
Więc, chociaż organicie, dadzą kątek w niebie,
A ty, Paniensko święta, weźmiesz mnie do siebie.“

I zapukał. Z za bramy dwa cudne głosiki
Odzywają się wdzięcznie, jak w lesie słowiki:
„A kto tam?“ „Z przeproszeniem, a to ja, Jacenty,
Z Częstochowy mieszczanin, a Matki Przeświętej
Miłośnik, organista od świętej Barbary.
Widzę tam nabożeństwo, Boże narodzenie,
Toćby się Panu Bogu chciał pomodlić stary,
A wszystkim ludziom przynieść serdeczne życzenie.“
„Witamy! a witamy!“ głosik się odzywa,
Brama pęka i dziwna jasność od niej spływa.
Anieli dwaj, w zielone ubrani odzieże,
Trzepocą skrzydełkami, jak rybki po wodzie:
„Witamy! Wielka radość będzie w naszym grodzie,
Kiedy serdeczny Jacuś do niego przybywa.
Witamy i czekamy! czekamy, witamy!“

Jacek trzykroć się kłania niziutko kołpakiem,
Zmieszany węża kręci i naciąga szaty:
„At, żartujecie sobie paniczki z biédakiem!“
Ale już anioł siwkę przywiązał do bramy
I prowadzi go dalej promienistym szlakiem.

Huczą dzwony, organów słyhać dźwięk wspaniały.
Jacenty, że był znawcą, wpadł w podziw niemały
Nad wybornością tonów i graniem kapeli:
„Nie potrafi tak człowiek, widać to anieli!“
Aż tu processja wielka idzie z chorągwiemi,
Jakby na dni krzyżowe lub na Boże ciało,
I czyli się to jeno Jacentemu zdało,
Ale śpiewali: „Witaj! Jacku nad Jackami!“

Więc najprzód w parach, w białe odzianych rańtuchy,
Idą biédnych ludzisków nieśmiertelne dnchy,
Chudzina, co na świecie niemało zaznała
Biédy, a przykazania Boskie zachowała,
A pracując w kroplistym czoła swego pocie,

Znalazła odpoczynek w wieczystym żywocie.
Były tam kmiotki biédne, których pan Jacenty
Pogrzebał na cmentarzu z księdzem w ziemi świętej,
I chłopianki sierotek otoczone kołem,
Które pod parafialnym pogrzebał kościołem,
A niemało im w życiu naczynił posługi
Ze serca, nie z cheiwości, jako klecha drugi.
Więc wszyscy uśmiechnięci szli k'niemu weseli:
„Jacenty! witaj! dawnoć my się nie widzieli.“

Toż opłatkami się z każdym organista łamie:
„Niema czego wam życzyć, jest wieszować czego,
Żeście ano królestwa doszli niebieskiego
I requiem znaleźli przy wieczności bramie.“
Aż tu mieszczanie, strojni w kapoty niedzielne,
W jupkach mieszczki, z czépkami na głowie złotemi,
Wychodzą. Jacek wiele ich zaznał na ziemi,
A to wszystko już teraz duchy nieśmiertelne.
A to nieboszczyk ojciec, klecha z Częstochowy,
A to matka, to dziadek, to pradziad zsiwiały.
Pan Jacek w łzy się ledwie nieroztopił cały.
Całuje białe ręce, tuli siwe głowy,
Ku kolanom ojcowskim pokornie się schyla:
„A czy ja biédny grzészniak wart roskoszy tyła?“
Ojciec z dziadem na łysą organisty głowę
Łzy upuszczają świecące, jasne, brylantowe,
Przyciskają do piersi; matka się z miłością
Patrzy, w czoło całuje najmilszego syna;
„Anom się nie zawiodła, pociecho jedyna,
Boś oto dosięgł nieba swoją pobożnością.“
A potem ręką wiedzie po ranach żalosań,
Co przez kontusz niedzielny błyszczą różowawo,
I rany się cudownie goją i zarosną,
A panu Jacentemu się tak jakoś mgławo
W oczach robi, że upadł do stóp swęj macierzy,
Dwoje strumieni wartko mu po twarzy bieży,
Aż podniosła go z ziemi i cicho wyrzeka:
„Idź Jacku! jeszcze więcej nagrody cię czeka.“

* * *

Więc z objęć macierzystych wyrwawszy się żwawo,
Poszedł dalej: I oto rzędami długimi
Idą panowie szlachta, ubrani świętecznie,
Jakby jechali króla obierać swęj ziemi:
Pod bieluchnym kontuszem, świecącym się mlecznie,
Rubinowe żupany, męczeńska łśni szata,
Karabela u boku połyska bogata,
A w dłoniach krzyż ten dzierżą pięknie i statecznie,
Który im dały wnuki do trumny na spanie.
A inni, co nie w świętej spoczywają ziemi,
Ale śpią gdzieś zabici w kresowym kurhanie,
Miecz dzierżą, a miecz krzyżem w ich prawicy świeci.
Są tam i wielkie pany z znaki koronnemi,
Buławami, pieczęciami, laskami, co w sejmie
Robiły spokój, ale cisi jako dzieci,
I od ich dumnej twarzy obawa nie zdejmie,
Bo się patrzą miłośnie, anielsko, uprzejmie,
I taka dobroć święta im z oblicza gada,
Jakby w progę z kielichem witali sąsiada.
Idą bez swarów dawnych, w braterskim spokoju,
Jako niegdyś chodzili do świętego boju.
Lecz pan Jacek, że umiał oddać cześć każdemu,
Zdjął kołpak i na boku zatrzymał się skromnie.
Aż pan sędzia wieluński poskoczy ku niemu,
Nieboszczyk, wprzód protektor Jacka znakomity:
„Jacenty, mój Jacenty, chodźże tutaj do mnie!
A toć-to w niebie równość, a kubrak mieszczkański
Tak idzie na sąd wieczny przed trybunał Pański,
Jak karmazyn, ubrany w turecki pas lity.
A gdy niecnota, darów pańskich rozproszyciel,
To mieszczkana nad pana postawi Zbawiciel!
Lecz ty, magnus defensor Przenajświętszej Matki,
Pójdź do nas i z zanadrza wyjm twoje opłatki,
Opłatki, com to niemi tyle lat na świecie
Łamał się z bracią szlachtą w wieluńskim powiecie,
A w których tyle wspomnień mam drogich dla siebie,
Żebym i dzisiaj płakał, chociaż jestem w niebie!“

Tu tłumem się do Jacka suną nieboszczycy,
Ściskając „defensora“ Najświętszej Dziewicy,
Łamią się opłatkami, a szmer jego sławy
Doszedł aż do hetmanów koronnej buławy,
Biskupów i najwyższych kraju dygnitarzy.
Olśniał pan Jacek nagle od takich honorów;
Więc się kłania niziutko, pokraśniał na twarzy,
I jąka przeprosiny: „At, ja człek chudzina,
Zanadto mnie nagrody i pańskich faworów,

Nie mięszać do rycerstwa mieszczkańskiego syna!“
Ale ba! Ledwie wyrzekł, wspaniała drużyna
Królów, częstochowskiego grodu protektorów,
Wychodzi i świecącym otoczy go rąbkiem.
Poznał pan Jacek wielu, o których był czytał
W księgach. Poznał staruszka, co białym gołąbkiem
Wyszedł naprzód i pierwszy go przychylnie witał,
A znak krzyża świętego nosił brylantowy,
Niby chrztu krople, u swęj posiwiiałej głowy.
Pokorny był i cichy królów protoplasta,
U boku mu pobożna stanęła niewiasta,
I taką miłość wielką uczuł Jacek k'niemu,
Że wyrzekł: „Cześć i sława praojcu polskiemu!
Cześć matce, co nam pierwsi do naszego domu
Wnieśli Boga, że teraz jest się modlić komu!“

Poznał i syna, wnuków, poznał prawnuczęta.
Zbrojni byli i groźni, lecz pobożność święta
Lśniała w oku i wielka dobroć, jako biała
Gołąbka, im się z twarzy marsowatych śmiała.
Przychylnie się opłatkami z Jacentem łamali
I o świętego grodu obrońcę pytali.
Poznał i króla chłopków, któremu maleńki
Ojciec, jak dziecię drobne, się wieszał u ręki;
Ale oba jednacy animuszem byli,
A na twarzy rodzica łśni jeszcze blask chwili,
Gdy ojczyznę ratował z uśmiechem na twarzy,
A u boku miecz wielki jeszcze wojnę marzy.
Poznał i owę parę, w purpury odzianą,
Co Polsce nowęj chwały zwiastowała rano,
Niewiastę śliczną, która krzyż na piersiach dźwiga,
To nowy ród królewski: Jagiełło! Jadwiga!
Aż u drugiej się znowu kończy szereg pary,
Przy ostatnim potomku idzie Zygmunt Stary,
Siwy, postacią na dół schylony ku ziemi,
Włosy mu pierścieniami na purpurę płyną,
Ale taki ojcowski, jakby dłońmi swemi
Serce między swych ludów obdzielał drużyną.
Byli i owi króle, których zapamięta
Pan Jacek, albo poznał z opowiadań dziada,
A każdy do starego uprzejmie zagada,
A każdy mu na ramię bieluchne rączęta
Przezrocze, przeświecone wskrós blaskiem wieczy-
Kładnie, uściskiem starca obdarza ojcowskim, [stym
Że się nie mógł nadziwić dosyć sądom boskim
I posiąść od roskoszy w tym dniu uroczystym.

Ale mu Częstochowa nie mogła wyjść przecie
Z głowy, ani klasztoru zapomniał w zachwycie.
Więc króliskom się dobrym kłania należycie
I mówi: „Króle święci! a co tam w dekrecie
Niebieskim napisano? Wy szczęśliwe duchy,
To was od Matki Bożej dojść musiały słuchy,
Co zamysła uczynić z pokornymi służy?
Szwed w oppressyi klasztor czas już trzyma długi,
A jak nam nie sfolguje Panienska niebieska,
To mogą ludzie upaść, heretyk wziąć górę;
A toćby szkoda było, gdyby Jój królewska
Stolica w heretyckie dostała się ręce,
A jeszcze niedowiarek uragał Paniencie!“
Ledwie rzekł, wiatr niebieski wielką duchów chmurę
Uniół w bok, że stanęli po obojój stronie
A sam Jacek na środku upadł na kolana,
Bo przed kościołem jawi się Najświętsza Panna
W rąbku świętych i obie wyciągnawszy dłonie,
Dwa promienie rzuciła jak łuki tęczowe
Na kłęczącego starca pochyloną głowę....
W chmurkach złotych u boku Przenajświętszej Pan-
Z skrzypeczków i basetli dźwięk wylata szklanny [ny
I po całych niebiosach śpiew kołody buja:
„Po dekrecie już w niebie. Alle-Alleluja!“
A panu Jacentemu tak pierś przepełniła
Niebieska roskosz, że się obudził na poły.

* * *

Na jawie jeszcze słyshy: śpiewają anioły,
Słyhać organ, kościelnej muzykę kapeli,
Nutę dzwonów, co przyjdzie Chrystusa głosiła.
Przeciera oczy, patrzy, śnieg się przed nim bieli
Szeroko, klasztor cicho stoi wśród śnieżycy,
Organ słyhać z kościoła, dzwon tętni z wieżycy,
Słońce ranne różowym pole blaskiem zléwa,
Wielka, świetalna cisza, jak w czas summy bywa.
Patrzy w tył, przecierając oczy po raz drugi,
Śnieg co jeno przysypał widokrąg daleki,
Nigdzie śladu człowieka, wydeptanej smugi,
Jakby nikt przez te pola nie chodził przez wieki.

Przeciera oczy znowu i w myśli się biedzi:
Czy to sen było wszystko? Gdzież zginęli Szwedzi?
Niema Szwedów, po Szwedach niema i poznaki,
Tylko po wałach widać zburzone baraki,
A z pod śniegu wystercza armata strzaskana,
Niby maszt rozbitego okrętu po burzy.
„Cudol“ zawoła Jacek i raz oczy mruży,
To szeroko otwiera. I już wytłumaczył
Sobie, że to sen jeno miał zwodniczy zrana
O Szwedach, obłężeniu, torturach i niebie,
Gdy mu dzbanek wiszniaku w głowie przeinaczył,
Że leży w swoim łóżku na ciepłym piernacie;....
Gdy nagle ruszył ręką. Ba! ani rusz bracie!
Ręka boli i jeszcze sznurem przywiązana;
Rusza nogą, a noga zatrzeszczy, aż dziwo;
Patrzy po sobie, ręką przywiązaną łapie
Przed siebie: toć pod sobą ma swą szkapę siwą
I sznurami widocznie skrępowan na szkapie!
Siwa łeb zwiesza na dół; u czarnej jęj grzywy
Śnieg się bieli i stroi ją we włos sędziwy;
Zmrużyła oczy drzemiąc i stoi bez ruchu,
A tu już chrzęści brona na ciężkim łańcuchu,
Otwierają się wrota, a z za wrót głos buja:
„Alleluja dzieciątku Jezus, Alleluja!“
Tłum obłężonych leci z roskoszami krzyki:
„Jacusiu! witaj! witaj! Poszły heretyki!
Książdz przeor w refektarzu na waszeczki czeka.“

Trzeba wyznać że od tój chwili, gdy Lotowę
Zdziwienie zamieniło w bryłę soli owę,
Nikt bardziej zdziwionego nie widział człowieka.

Ale któżto opisać zdoła powitanie
Znajomych, krewnych, syna i córki i żony:
Jak go Hanna oplotła białemi ramiony,
Bledziutka, a tak bardzo, bardzo zapłakana,
Jak brzoza, co po burzy w świetle słońca stanie.
A te krzyki, pytania te bez odpowiedzi!
„A jak się masz, Jacusiu? a cóż tam ci Szwedzi?“
A ten lament, gdy Jacek, odwiązany od siwój,
Upadł o ziem i nie mógł dalej stąpić kroku;
A owę wielką miłość w wszystkich ludzi oku,
Jak go mieli w staraniu i pieczy troskliwój,
Ze wkrótce, namaszczony cudownymi léki,
Do refektarza poszedł z huczniemi okrzyki ...

W refektarzu wesołą przeor ucztę dawał,
By zabawą uczciwą długi trud nagrodzić.
Pan miecznik jego zdrowia wnosić nie przestawał,
Jako wielkiego Marji i kraju obrońcy.
Aż książdz przeor zawołał do niego śmiejący:
„At, mieczniku! gdy Marja Panna oswobodzi
Chce z obieży, to daje swą łaskę przeczyście
Nietylko przeorowi, ale organiście!“
I wprowadzając Jacka do biesiadnej sali:
„Panowie bracia, on-ci nie szlachcic herbowy,
Lecz kto zdrowia dla Marji nadstawiał i głowy,
Ten wart, panowie szlachta! byście dank mu dali.

Tu opowiedział wkrótce Brzuchańskiego trudy
I jakimi od śmierci wymigał się cudy.

Wtedy miecznik z pierwszego się miejsca umyka,
Ujmuje starca, gwałtem sadza go przy sobie:
„Rycerz, mości panowie, niewart męczennika,
Bo on-ci w ziemskiej chodzi, ten w niebios ozdobie!
A kto dla Marji Panny wycierpiał tak wiele,
Czołem przed nim te herby! czołem karabele!
Czy go wyda chłopiański stan, czyli mieszczkański!
Przeorze! twoje zdrowie pić w tój chwili miałem,
Ale on lepszym od nas udarzon udziałem;
My walczyli, on cierpiał! Więc bracia, panowie!
Wnoszę kielich: Niech żyje pan Jacek Brzuchański!“

I wszyscy duszkiem starca wychylili zdrowie....

ZACMIENIE SŁOŃCA

dnia 18 lipca 1860 roku.

Dzięki nauce astronomii, od niepamiętnych już czasów zaćmienia przestały być uważanemi za przypadkowe, groźne zjawiska, i skutkiem dokładnego poznania dróg ziemi i księżycy, oraz najdrobniejszych wpływów odwiecznie działających sił wzajemnego

przyciągania i rzutu, możemy obliczyć naprzód na tysiące lat, kiedy te naturalne zjawiska przypadną, co do godziny i minuty, gdzie będą widzialne całkowicie, a gdzie tylko częściowo i t. p. Przyczyna zaćmienia słońca i księżycy, tak naturalna, i prosta, odejmuje zjawiskom tym wszelką przypuszczaną dawniej fatalność, i dziś najgrubsza tylko niewiedomość może jeszcze do nich przywiązywać jakieś niewłaściwe znaczenie.

Ale dla tój samej nauki, której badania tak dokładnie wyjaśnić zdołały naturę tych zjawisk, dziś służą one do nowych odkryć i zapewniają jej ważną nader zdobycze. Najbardziej trafiające się całkowite zaćmienia słońca, (bo wymagają nietylko żeby słońce, księżyc i ziemia znajdowały się na jednej linii, ale nadto żeby ta linia przechodziła przez środki tych ciał niebieskich) najważniejszymi są także dla nauki, z powodu możności obserwowania takich fenomenów słonecznych, które tylko przy zupełnym usunięciu promieni słońca widzialnymi się stają, i to przy pomocy silnych narzędzi astronomicznych. Dlatego też na tegoroczne zaćmienie uczeni badacze ze wszystkich krajów zjechali się do tych szczęśliwych miejsc ziemi (Hiszpania i Algierja), gdzie ono było całkowitem, i zjazd ten nie pozostał bez ważnych owoców. Akademia francuzka wysłała najliczniejszy kontyngens obserwatorów, a przez szacunek dla zasłużonego dyrektora obserwatorium paryzkiego p. Leverrier, któremu winniśmy odkrycie planety Neptun, wszyscy prawie obcy obserwatorowie przesłali mu swoje postrzeżenia, on zaś w obszernym raporcie złożył je akademii paryzkiej. Z warszawskiego obserwatorium udał się tam p. Adam Prazmowski, którego postrzeżenia stanowią jedną z najważniejszych części raportu pana Leverrier, a rezultat ich jest najbardziej, a nawet zupełnie stanowczym.

Z postrzeżeń czynionych przez kilkunastu znakomych astronomów, odbywających z osobna swoje obserwacje, zdaje się wyraźnie wynikać, że dotychczas mylne mieliśmy wyobrażenie o naturze fizycznej słońca. Przedstawiano nam je jako złożone z centralnego globu zupełnie czarnego, otoczonego niezmierną atmosferą ciemnych chmur, po za któremi dopiero przypuszczano światłokrąg (fotosferę), to jest atmosferę ogniową świecącą sama z siebie i będącą źródłem światła i ciepła słonecznego. Kiedy obłoki tój fotosfery rozdziarają się, mówiono nam, można przez te rozdarca widzieć czarne jądro słońca, i ztąd pochodzą liczne i częste ciemne na niem plamy. Do tego dość zakłamanego składu słońca, należało jeszcze dodać trzecie skrajne otoczenie, składające się z chmur różowych, dokładnie dających się widzieć w czasie całkowitego zaćmienia. Otóż, powiada p. Leverrier, zdaje nam się teraz że większa część tych mniemanych atmosfer jest zupełnym urojeniem i że słońce jest po prostu ciałem świecącym, z powodu swojej wysokiej temperatury otoczonem warstwą materji różowej, której istnienie jest dziś dowiedzionem. Tym sposobem słońce, złożone z kuli centralnej, stałej czy płynnej, otoczonej pewną atmosferą, wchodzi w warunki wspólnego prawa składu ciał niebieskich.

Powiedzieliśmy że istnienie warstwy materji różowej, w części przezroczystej, otaczającej całą powierzchnią słonecznej kuli, jest faktem dowiedzionym obserwacjami, które nadto okazały że ta materja różowa niekiedy gromadzi się w znaczniejszej ilości na niektórych punktach, tak iż może zasłonić światłość odpowiadającej tym punktom przestrzeni na powierzchni słońca, co nam najzupełniej wyjaśnia owe postrzegane na niem plamy. Te plamy przedstawiają najrozmaitsze postacie i najszybsze w nich zmiany, co jest bardzo naturalnem, skoro one są skutkiem chmur, zmieniających miejsce na powierzchni słońca tak samo, jak chmury na powierzchni ziemi, i z ruchu ich nie można obliczać czasu obrotu słońca około osi. Nadto te właśnie chmury, napiętrzone jedna nad drugimi, lub jedne na drugich, stanowią owe wżórkowatości (*protuberances*) języczkowate, postrzegane tu i owdzie na obwodzie świetlnym (*aureole*) otaczającym obwód ciemnej tarczy księżycy w czasie zupełnego zaćmienia, a należącym do słońca.

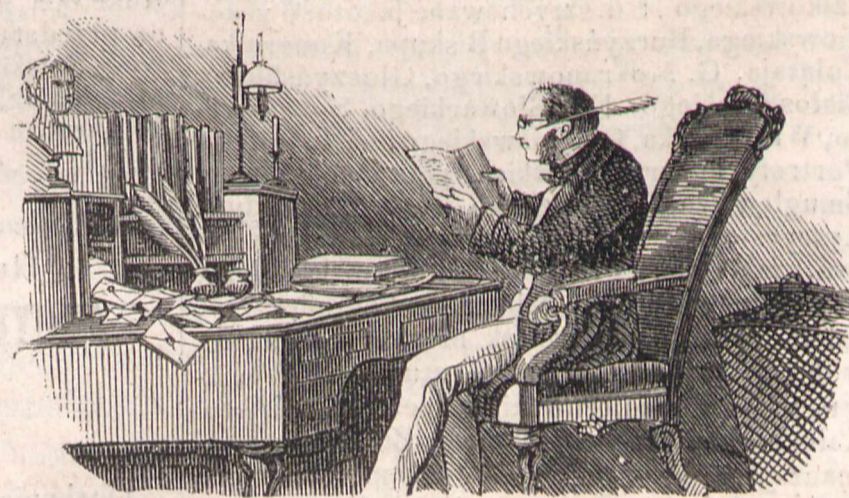
Celem obserwacji p. Prazmowskiego było wyłącznie rozpoznanie natury fizycznej światła tego obwodu czy aureoli świetlnego słońca i tych wyrostków języczkowatych. P. Leverrier w raporcie swoim zamieścił dosłownie sprawozdanie naszego astronoma

i jego wnioski. Sprawozdanie to, napisane nadzwyczajnie jasno i zrozumiale dla osób specjalnych, dla ogółu czytelników naszych niezupełnie byłoby przystępnem; podamy tu więc tylko jego treść, z której nawet niewtajemniczeni w naukę fizyki będą mogli w zupełności ocenić wypadki postrzeżeń p. Prazmowskiego i jego zasługę.

Lat temu dopiero 50 jak uczony Malus (w r. 1810) postrzegł, że promienie światła, odbijając się od jakiejś gładkiej powierzchni, lub łamiąc w przechodzie przez ciało przezroczyste pod pewnym kątem nachylenia, nabywają nowych wyraźnych własności, a mianowicie nie mogą się już odbijać ani łamać powtórnie, padając na inną powierzchnię, prostopadłą do płaszczyzny pierwszego wpadania. Własność tę nazwano *polaryzacją*. Powtóre, promień światła przechodzący przez ciała mające własność podwójnego łamania światła, rozkłada się na dwa kolory, będące sobie wzajemnie dopełnieniem, na przykład zielony i czerwony. Otóż za pomocą tych własności, wystawionych na ścisłe próby w obserwacjach pana Adama Prazmowskiego, osiągnięte zostało w rezultacie przekonanie: że świetny obwód czyli aureola w luncie urządzonej odpowiednio, daje światło spolaryzowane, co dowodzi, że to światło wypływa ze słońca i że cząsteczki które je polaryzują są natury gazowej, że zatem ta aureola jest atmosferą słońca. Przeciwnie owe strzępy, wżórkki, języczki, znajdujące się na obwodzie aureoli, nie przysyłają nam światła spolaryzowanego, tak samo jak to widzimy na naszych chmurach i obłokach. Można więc ztąd wnioskować, że one są chmurami słonecznymi i to nie gazowej natury, ale złożonemi z cząstek ciekłych lub stałych, co ze względu na niesłychaną wysokość temperatury słońca wskazuje, iż materja z której się te chmury składają, niezmiernie jest trudną do stopienia.

Te wnioski naszego astronoma, zamieszczone w raporcie p. Leverrier, a wkrótce może przeznaczone stać się pewnikami w astronomii, rozwiązałyby ostatecznie ważne dotychczasowe wątpliwości co do rzeczywistej natury fizycznej słońca, a sława tój stanowczej decyzji należałaby się polskiemu astronomowi.

.....r.



Krotochwilne rozwiązanie ostatniego zadania konikowego przez panią Teklę D. w Kupieli odebraliśmy, i przyznajemy jej chętnie, że w bezładnem pomieszaniu zgłosek dała nam prawdziwsze wyobrażenie o chaosie, jak słynny opis w Przemianach Owidiuszowych. Że jednak za korespondencye humorystyczne w tym rodzaju nagród nie dajemy, przeto i życzeniu jej zadosyć uczynić nie możemy.

Pani N. N. w Bryslawicach pod Kłodawą chętniebyśmy udzielili żądanej wiadomości, gdyby szanowna korespondentka, zapewne w pośpiechu, nie zapomniała podpisać swego nazwiska. Prosimy o powtórzenie adresu.

Na uwagi p. Stanisława Głoga w Petersburgu, listownie nam udzielone, w zupełności się zgadzamy. Trudno jednak przepisywać pocie jakąś normę stałą w zapatrywaniu się na świat i stosunki jego, trudno w zwątpieniu kazać mu wierzyć, lub ufać w chwilowym ducha upadku. Z tych też powodów, a w części i dla braku miejsca, nadesłanej odpowiedzi wierszem na poezję p. t. *Nędza*, umieszczoną w Nrze 46 naszego Tygodnika, drukować nie możemy.

Panu Mścislawowi J. w Warszawie radzimy, aby ów „łęk niecytowiedzianny“ z jakim przesłał nam pierwszą swoją pracę, powstrzymywał go nadal od przedwczesnych elukubracji poetyckich, dopóki nie zapozna się bliżej z zasadami grammatyki i z elementarnymi prawdami sztuki rymotwórczej.

Panu L. W. w Suchedniowie. Doniesień w formie wierszowanej dotychczas nie zdarzyło nam się widzieć; nadesłanych więc rymów, nawet za opłatą od wiersza jaką nam Pan proponujesz, drukować nie jesteśmy w możności.

DONIESIENIA.

Stosownie do życzenia bezimienną autorki, uwiadomiam ją za pośrednictwem Tygodnika Ilustrowanego, że plan jej urzędzenia pensyi wyższej żeńskiej czytałem z uwagą, na jaką zasługują znaczne intencje piszącej i cel jej praktyczny i zwrócony ku domowemu bytowi, jakoby wychowaniu kobiet u nas dać chciała. Ale nie wszystkie środki, jakie proponuje, mogłyby do tego celu doprowadzić. Urządzenie domu na pensyę jest właśnie najniepraktyczniejsze, garderoba panien za nadto pańska, a inne przepisy, chociaż dobre, ale ledwie przy dwóch lub trzech panienkach, nie przy stu, lub nawet pięćdziesięciu wykonać by się dały. Ograniczam się na tym, co powiedział, gdyż autorka na marginesie swego rękopisu znajduje więcej uwag człowieka fachowego, który się tym przedmiotem z zamilowaniem zajmuje. Niech ją wszakże ani te uwagi, ani moje słowa w dalszym myśleniu nad tą rzeczą nie zrażają, oświadczam bowiem, że gdybym był bogatym i miał córki do wychowania, ze spokojnym sumieniem powierzyłbym je, jako guwernantce prywatnej, kobiecie, co tak dobrze widzi, czego prywatnej edukacji naszej braknie i tak serdecznie pragnie, aby ten niedostatek, jako główną przeszkodę do szczęścia domowego, z tejże edukacji usunąć. Proszę o zawiadomienie mię listem, gdzie mam złożyć rękopis, aby ręk autorki doszedł.

J. Korzeniowski.

Znakomite zbiory artystyczne, jakoto: **obrazy olejne** najslawniejszych mistrzów różnych szkół, i w znacznej ilości, pozostałe po ś. p. Janie - Feliksie *Piawskim*, ryciny za szkłem najpierwszych artystów zagranicznych i polskich, jakoteż i w tekach krajowe i obce, rysunki oryginalne malarzy polskich, i sztychy artystów krajowych, gdzie jest wielka ilość portretów osób odznaczających się w kraju jakoto: Księcia Józefa Poniatowskiego, Kościuszki, Radziwiłłów, dwóch braci Rzewuskich, St. Potockiego, Zamojskich, Arciszewskiego, Ossolińskiego, hr. Kon. Tyzenhauza, Młodziejowskiego, Chodkiewicza, Żółkiewskiego i t. d. i t. d. Rysunki oryginalne do grobów Królów Polskich z tekstem, robione piórem i tuszem przez Michała Stachowicza; ryciny do monumentów krakowskich i t. d. Rysunki oryginalne ś. p. Piawskiego, wykonane i w szkicach w małej już liczbie pozostałe, również i wszystkie prace jego litograficzne z całego życia, w trzy wielkie księgi wklejone. Portrety oryginalne rysowane przez ś. p. Piawskiego, jakoto: Woronicza, Kopernika, Szaniawskiego, Falkowskiego i t. d. sztychowane jakoto: W yczkowski, Burzyńskiego Biskupa, Kopernika, Kołataja, G. Mokronowskiego, Głuszyńskiego, Białoskórskiego, Eu. Słowackiego, Sowińskiego, Wł. Wężyka, Gołębiowskiego i wielu innych. Portrety malarzy Polskich, jak: Orłowskiego, Smuglewicza, Baciarellego, Ks. Bernardyna Leszczyńskiego i t. d. Różnoczasowe wydawnictwa, jak Galerya Królów, Kram malowniczy, jedyny egzemplarz Album cynkograficznego; dzieło rysunkowe: widok miasta Kazimierza w dużej ilości odbity, jako i ratusz w Kazimierzu, pałac Kazimierowski i jeszcze dawniejsze. Kalki rozmaite obce i krajowe. Biblioteka, odznaczająca się rzadkimi dziełami o sztuce w różnych językach, szczególniej dla rysowników, malarzy, budowniczych i techników. Figurka z masy porcelanowej, mistrzowskiego wykonania na postumencie; gipsy rozmaite, wzory dla uczniów, za szkłem, tekturowe, i rozmaitych wydań: głowy, kwiaty, figury i mappy. Utensylia malarskie, ramy, sztalugi, szkła rozmaite i t. d. są do widzenia i nabycia przy ulicy Nowy-Swiat Nr 46 nowy, wprost apteki Koopęgo, na drugim piętrze, gdzie dzwonek na lewo.

Księgarnia Polska

ulica Miodowa Nr. 482,

z powodu zapytywań z rozmaitych stron odbieranych: czy istotnie cena na GALERYE KRÓLÓW POLSKICH A. Lessera, w zmniejszonym formacie po jej ukończeniu zostanie z rs. 5 na 10 podniesioną? co się zdaje pytającym mało prawdopodobnym, a nawet, przez ironją za omyłkę drukarską jest przez niektórych poczytywanem, ma honor oświadczyć: Podwyższenie nastąpi jak najniezawodniej, cena bowiem dla prenumeratorów rs. 5 za 40 portretów starannie wykonanych, z krótkim do nich tekstem, jest tak nisko oznaczona, że tylko przy wielkiej ilości prenumeratorów koszta pokryte być mogą. Zdaje się zresztą wydawcy właściwiej, aby ceny książek po ich wyjściu podwyższone, niż niżane bywały, bo tylko

tym sposobem publiczność zachęconą być może do prenumeraty. Tego też prawidła Księgarnia Polska trzymała się dotąd i nadal trzymać się zamysła. Niech pytający raczą przypomnieć sobie, że cena Galeryi Królów w wielkim formacie była oznaczoną dla prenumeratorów z góry płacących 20 rs. teraz zaś jest 25 rs. Z tego co było, niech wnioskuje o tem co będzie, to jest że nie tylko cena Galeryi Królów w zmniejszonym formacie, ale ceny wydawanych przez nas obecnie Galeryi Hetmanów, Arcybiskupów, oraz ceny wszelkich wydań jakiebyśmy w przyszłości przedsiębrali, po ich wyjściu podwyższone będą. Wolelibyśmy całkiem zaniechać mało zyskownej spekulacji wydawnictwa książek polskich, niż stracić wiarę i zaufanie ziomków. Do czego w wydawnictwach naszych zobowiązaliśmy się, z tego będziemy starali się jak najsumiennie i najkuratorniej wywiązać; nawzajem od warunków w ogłoszeniach naszych dla publiczności podanych, ani na jotę nie odstąpimy.

Nakładem tejże księgarni wyszedł zeszyt 5ty dzieła:

WIZERUNKI

KRÓLÓW i KSIĄŻĄT

panujących w Polsce od Mieczysława Igo do Stanisława Augusta.

Zebrane i rysowane według autentycznych źródeł przez A. Lessera. W formacie o połowę zmniejszonym niż Galerya Królów Polskich. Cena zeszytu 4 portrety obejmującego zł. 4 (kop. 60); każdy portret oddzielnie zł. 2 (kop. 3). Płacący prenumeratę z góry, otrzymują całe dzieło (40 portretów) z tekstem za rs. 5, z przesyłką na prowincję rs. 6. Po wyjściu całego dzieła, cena niezawodnie podwyższoną zostanie na rs. 10. Oddając to tanie, a przecież jak najstarannie wykonane wydanie wizerunków Królów Polskich, za cenę tak umiarkowaną, że tylko bardzo wielka ilość prenumeratorów zwrot kosztów zapewnić nam może, mieliśmy szczególniej na względzie rozpowszechnienie większej Galeryi Królów, jedyniej inoże w swoim rodzaju, bo zalecającej się wielkiem podobieństwem, jako zebranej ze źródeł najbardziej autentycznych.

Galerya Królów w wielkim formacie całkowicie już ukończoną została. Kosztuje, z kartą tytułową chromolitografowaną przedstawiającą wszystkie herby ziem dawnej Polski, z obszernym tekstem Juliana *Bartoszewicza*, zeszytów 15 (portretów 44) rs. 25. W oprawie eleganckiej ze złoconymi brzegami rs. 33.

Nakładem tejże księgarni wyszły zeszyty

11ty i 12ty dzieła pod tytułem:

ARCYBISKOPI GNIEŹNIĘSCY

i

PRYMASI.

Objęte one w sobie wizerunki przerysowane z Galeryi Łowickiej zbieranej przez Ignacego Krasieckiego Arcybiskupa Gnieźnieńskiego. Opis historyczny pióra Juliana *Bartoszewicza*. Cena każdego zeszytu mieszczącego w sobie 4 wizerunki, z tekstem życiorysowym, rs. 1. Zeszytów będzie 23. Płacący prenumeratę z góry, dostają całe dzieło za rs. 20. Koszta przesyłki Księgarnia przyjmuje na siebie. Po wyjściu całego dzieła cena jego niezawodnie podwyższoną zostanie na rs. 25.

Taż Księgarnia otrzymała na skład główny dzieło:

POGLĄD NA DZIEJE LUDZKIE

z dwunastu punktów w 304 1/2 letniej równoległości, czyli świat przedchrześcijański i chrześcijański. Wraz z kartą synchronistyczną przez Wł. Dłużniewskiego. Cena kop. 75.

W Zakładzie artystyczno-litograficznym naszej firmy wyszedł

POMNIK

Ks. KORDECKIEGO

W CZĘSTOCHOWIE.

Rysował z natury i litografował L. Piechaczek. Cena zł. 2 (kop. 30). Egzemplarz na chińskim papierze zł. 3 gr. 10 (kop. 50).

Nakładem tegoż Zakładu wyszedł także

WIDOK

KOŚCIOŁA OO. BERNARDYNÓW

w Kobylce (pod Warszawą),

odpustami corocznymi na św. Anę (26 lipca) wstawionego. Cena zł. 3 gr. 10 (kop. 50).

A. Dzwonkowski i spółka.

W tych dniach opuścił prasę drukarską, nakładem autora **Słownik podręczny włoško-polski i polsko-włoški**, ułożony z najlepszych źródeł przez Ignacego *Plaskowskiego*. Cena 2ch tomów w 8ce rs. 3. Skład główny w księgarni G. Sennewalda Nr 481 (2); nabyć zaś go można we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

W Księgarni

R. FRIEDLEINA

w Warszawie przy ulicy Senatorskiej Nr 460,

sprzedaje się dzieło dopiero co wydane p. n. **Biblioteka ordynacji Myszkowskiej, Zapis Konstantego Swidzińskiego**. Rok 1860, w Krakowie, in 4to. Z ryciną na stali. Cena rs. 6 kop. 75. Książka ta obejmuje w sobie: 1) Zapis Konstantego Swidzińskiego. 2) O zapisie Swidzińskiego oznajmienie pożegnalne. Dodatek do tegoż. 3) Zrzeczenie się spadku przez Margrabiego Wielopolskiego a przyjęcie przez Swidzińskiego 2) Korrespondencya. 3) Sprawa o zapis w pismach publicznych. Uwagi nad pismem PP. Władysława Małachowskiego i Aleksandra Przędzieckiego z dnia 20 grudnia 1859 roku, P. Erazma Michałowskiego. Rys ustawy dla muzeum polskiego imienia Swidzińskiego i jego historia. 4) Kronika zbiorów. II. **Listy Jana Sobieskiego uporządkowane, pomnożone i objaśnione przez Antoniego Zygmunta Helcla**. W tejże księgarni sprzedaje się też dzieło na rok 1859 z ryciną, in 4to, za cenę rs. 1 kop. 35.

Z dniem 1m sierpnia r. b. otwarte zostało w Żytomierzu pod firmą:

BOLESŁAW ŁOZIŃSKI i Comp.

BIURO KOMISOWO-INFORMACYJNE,

poświęcić się mające wszelkim interesom w stosunkach handlowych pośrednictwa wymagającym. Głównie biuro to podejmuje się sprzedaży, zakupna zboża, wlny, materiałów leśnych, i wszelkich produktów rolnictwa i przemysłu.

KONSTANTY BUDKIEWICZ

W ŻYTOMIERZU

przy ulicy Kijowskiej, Dom Skomorowskiego na przeciw Cerkwi

Śto Michalskiej i Hôtel de France,

poleca się łaskawej publiczności

KSIEGARNIA I MAGAZYNEM oraz **MAGAZYNEM STROJÓW**

NUT,

DAMSKICH,

Księgarnia zawsze zaopatruje się w każdą nowość literatury polskiej, jaka tylko w kraju się pojawia, i sprzedaje takowe według cen ogłaszanych. Nadto wypisującym choć za kilka rs. książek lub nut, koszta przesyłki bierze na siebie, lub też biorącym na miejscu, odstępuje stosowny rabat. Katalogi książek i nut na żądanie rozdaje i przesyła bezpłatnie.

Magazyn strojów sprowadza i sam wytawia wszelkiego rodzaju kapelusze, jak również wszystko to co tyczy się ubrania głowy, podług najnowszych otrzymywanych modeli Paryzkich. Nadto utrzymuje różne okrycia i mantyle, kwiaty, pióra, wstążki, wyroby koronkowe fabryki Monarda w Paryżu, (Dentelles Monard) a mianowicie: chustki, mantyle, fanchonetki, barby etc. etc.

Wszelkie zlecenia jak do Księgarni tak do Magazynu strojów wspólnie mogą być adresowane: Konstantemu BUDKIEWICZOWI w Żytomierzu.

Doniesienia przyjmują się na takich samych warunkach, jak w innych pismach peryodycznych Warszawskich.

W Drukarni J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa dnia 26 sierpnia (7 września) 1860 r.—Starszy cenzor, F. Sobieszczański.

Redakcyja przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391 w domu PP. Wizytek